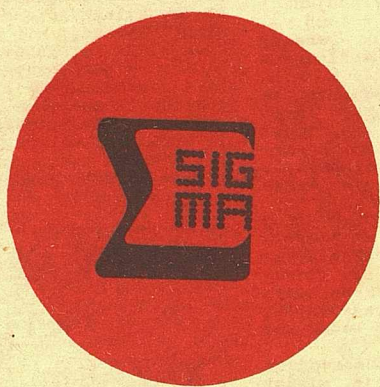
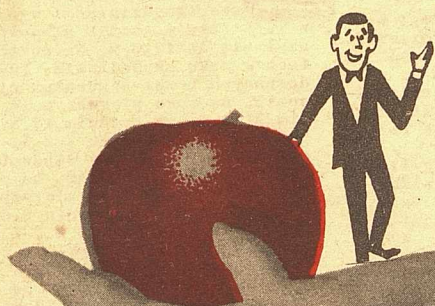


Świato Śwy

marzec 1969

najlepsze życzenia



**MAGAZYN
PROBLEMOWO
INFORMACYJNY
POLITECHNIKI
WROCLAWSKIEJ**

A by utrzymać się na poziomie wysoko rozwiniętych krajów, nowoczesne społeczeństwo musi z każdym rokiem kształcić coraz więcej młodzieży na poziomie wyższym. Banalność tego twierdzenia jest widoczna gołym okiem i oczywista, a więc nie wymaga żadnego uzasadnienia. Wynika to z nader prostego faktu, iż liczba miejsc pracy, które muszą być obsadzone przez wysokiej rangi specjalistów, wzrasta w tempie sprintu stumetrówki i jednocześnie kuroczy się w tym samym tempie możliwość efektywnego wykorzystania ludzi nie posiadających przygotowania fachowego - choćby na poziomie średniej szkoły zawodowej. Zważywszy, iż średni wiek produkcyjny człowieka wynosi około lat czterdziestu, jest już rzeczą oczywistą, że dzisiejszy system szkolnictwa deoyduje w dużym stopniu o kształcie i funkcjonowaniu naszego społeczeństwa za lat kilkadziesiąt.

Znalazło to dobitny wyraz w uchwałach V Zjazdu naszej partii, nakładających na uczelnie wyższe obowiązek kształcenia kadry specjalistów przynajmniej z kilkuletnim wyprzedzeniem w stosunku do aktualnych potrzeb i możliwości ich pełnego w chwili obecnej wykorzystania. Przy czym wytyczne V Zjazdu należy traktować jako zielone światło dla rozwoju szkolnictwa wyższego i postulat przyszłościowy. Na razie jesteśmy jeszcze bardzo dalecy od zaspokojenia aktualnych potrzeb na wczoraj i dziś, natomiast kształcenie akademickie dla przyszłych potrzeb jest dla nas dość daleką perspektywą.

Przed 1939 rokiem kształciliśmy w szkołach wyższych 14,4 studenta na dziesięć tysięcy mieszkańców, obecnie 86. Duże to czy małe - zależy jak się patrzy co chce się widzieć; w porównaniu z przeszłością - dużo a w zestawieniu z potrzebami i z tym, co robia w tym zakresie kraje rozwinięte i nasi sąsiedzi - za mało.

I tak np. omawiany tu wskaźnik liczby studentów na dziesięć tysięcy mieszkańców wynosi dla USA 284, dla ZSRR 176, Czechosłowacji 103, Bułgarii 103, Holandii 113, Węgier 91, Kanady 147, Jugosławii 99.

Pięknie, ale co mają te pracownice zebrane z rocznika statystycznego cyferki do problemu niepowodzeń? Mają i to dużo. Na razie proponuję uwierzyć autorowi na słowo.

Pod względem liczby młodzieży kształconej na poziomie wyższym nie należymy więc do liderów światowej oświaty; wprost przeciwnie - potrzebujemy się zdrowo napociec, aby dochrapać się w tym wysiłku jakiegos punkowanego miejsca. Mimo poważnego wzrostu liczby studentów odsetek ludzi z wyższym wykształceniem zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej nie zmienił się od 1958 roku, kiedy to ustabilizował się na poziomie 4,0 %.

Plany rozwojowe szkolnictwa wyższego są imponujące. Wyraża się to choćby w tym, że ośrodek wrocławski w 1985 roku będzie kształcił jeszcze raz tyle studentów co obecnie. Ale również i zapotrzebowanie na absolwentów będzie wzrastać przynajmniej w tym samym tempie. Podwojenie w 1985 roku liczby studentów jest jednak - według obecnego stanu - poza granicą możliwości kadrowych i materialnych uczelni. W rzeczywistości granica ta już teraz została co najmniej naruszona a może nawet dawno przekroczona. Nauczanie odbywa się kosztem zwiększającego się obciążenia pracowników naukowo-dydaktycznych i pogarszających się warunków studiowania, nie wyliczając higieny i bezpieczeństwa.

Taki stan rzeczy prędzej, czy później musi doprowadzić do obniżenia sprawności działania układu, jakim jest uczelnia; nie ma to już większego znaczenia, czy niekorzystne efekty będą dotyczyć przede wszystkim obniżania się poziomu absolwentów, sprawności kształcenia, czy też badań naukowych.

Poczynając od 1955 roku obserwujemy stale pogarszające się proporcje między wzrostem liczby studentów a wzrostem liczby kadry nauczającej. I tak: w roku akademickim 1955/56 przypadało 8,6, w 1960/61 - 8,7, w 1964/65 - 10,5, a w 1966/67 - 11,2 studenta na jednego pracownika naukowo-dydaktycznego. Biorąc pod uwagę jedynie samodzielnych pracowników nauki, otrzymamy w omawianych latach następujące proporcje: w 1955/56 - 1/68, w 1960/61 - 1/67, w 1964/65 - 1/56, w 1966/67 - 1/71.

Zwiększającej się gwałtownie liczbie studentów nie towarzyszył proporcjonalny wzrost nakładów na rozbudowę zaplecza naukowego w postaci sal wykładowych, laboratoriów, pracowni i odpowiedniego wyposażenia w pomoce naukowe. W sumie utrzymanie nakładów na dotychczasowym poziomie, bez względu na wysiłki ludzi, musi pogłębiać zarysowujący się regres. Wykonanie założonych wskaźników wzrostu liczby studentów - staje pod znakiem zapytania.

Tak więc istotne zwiększenie ponad

obecne wskaźniki liczby przyjęć nie byłoby możliwe. W końcu nie chodzi jednakże w ostatecznym rachunku o liczbę studentów a liczbę wypuszczanych absolwentów. Naturalnie liczba absolwentów zależy od liczby studentów; nie jest to jednak zależność prostoliniowa. W bardzo dużym stopniu zależy ona również od wielkości niepowodzeń doznawanych przez studentów w czasie studiów.

Wszelkie działania zmierzające do zmniejszenia rozmiarów tego zjawiska pozwalają nam, mimo niekoniecznie najkorzystniejszych wskaźników ilości studiującej młodzieży, zmniejszyć dystans dzielący nas od krajów rozwiniętych pod względem dostarczanych gospodarce specjalistów.

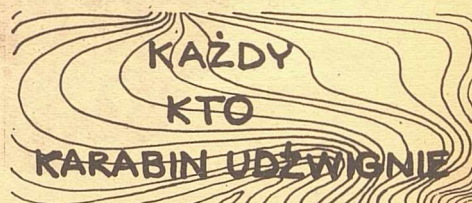


W 1966 roku na naszej Uczelni nie zaliczyło roku równo 21,0 % ogólnej liczby studentów. W wyniku całego szeregu działań i wysiłków Uczelni w 1968 roku wskaźnik niepowodzeń zmniejszył się do 17,6 %. Na poszczególnych latach w roku akademickim 1967/68 wskaźnik doznanych przez studentów niepowodzeń wynosił: na roku pierwszym 14,5 %, na drugim 24,2 %, na trzecim 17,5 %, na czwartym 9,3 %, na piątym 7,2 %. Spośród nich skreślonych z liczby studentów zostało ogółem 7,3 %. Natomiast na poszczególnych latach skreślono: na pierwszym 10,7 %, na drugim 9,2 %, na trzecim 6,0 %, na czwartym 3,4 % i na piątym 2,2 %. Pozostali użytkownicy urlopy dziekańskie i zostali skierowani do powtarzania roku.

Jeśli przyjmiemy, że omawiane pięć roczników jest w przybliżeniu obrazem drogi każdego kolejnego rocznika, to wtedy okaże się, że na przestrzeni całego ciągu studiów doznaje niepowodzenia ponad 60,0 % ogólnej liczby studentów przyjętych na pierwszy rok. Pełnego zaś niepowodzenia kończącego się skreśleniem z listy studentów doznaje ponad 30,0 %.

Daleki jestem od twierdzenia, że istnieje choćby teoretyczna możliwość całkowitego zlikwidowania niepowodzeń, niemniej możliwe jest chyba poważne zmniejszenie ich rozmiarów.

Na marginesie warto zauważyć, iż w całej tej imprezie najmniej chodzi, wbrew sugestiom publicystów, o to, że wykształcenie jednego absolwenta kosztuje 130.000 złotych, a więc w skali kraju niepowodzenia w studiach kosztują skarb państwa kilka czy kilkanaście milionów złotych polskich. Naprawdę nie o to chodzi; strata tych kilku milionów złotych jest prawie niczym w porównaniu ze stratami społecznymi, wyrażającymi się choćby w tym, że gospodarka narodowa otrzymuje mniej specjalistów aniżeli potrzebuje i mniej niżby to było możliwe. Tu już straty liczą się nie w skali kilku milionów złotych czy w tempie rozwoju gospodarczego kraju.



Zwiększające się zapotrzebowanie na absolwentów implikuje w sposób jednoznaczny, iż z tej samej liczby młodzieży kolejnych roczników znacząco większy odsetek będzie przekraczał prógi wyższych uczelni. Znacząco również nie mniej nie więcej tylko tyle, że na studia będzie przychodzić młodzież również o dyspozycjach przeciętnych. Niekoniecznie oznacza to, że gorzej przygotowana pod względem merytorycznym (co zależy od poziomu szkoły średniej). Uczenie tej młodzieży będzie wymagać znacznie większego wysiłku i umiejętności pedagogicznych ze strony kadry nauczającej. W żadnym wypadku nie może to jednak obniżyć poziomu kształcenia.

Jeśli potrzeby gospodarki i kultury są takie, iż należy kształcić na poziomie

W NUMERZE:

CZAS UCZENIAs. 2
 WPLECIONE W PIEŚNI... " 3
 SZEF W KUFAJCE....." 6
 LEKTORATY....." 7
 CZY MOŻNA BYĆ 40-
 LETNIM STUDENTEM?...." 8
 SKUTTERUDYT I SPRZE-
 ŻENIE ZWROTNE....." 9
 PESTYCYDY-NADZIEJA
 CZY NIEBEZPIECZEŃSTWO? 10
 JUŻ STAROŻYTNI....." 11
 NIEDOKOŃCZONA ROZ-
 MOWA....." 12
 WIERSZE....." 13
 VII KONGRES ZSP....." 14
 BOGACI ARCHITEKCI-Z
 WŁASNEGO PODWÓRKA...." 15
 KONKURS!....." 16
 O KULTURZE-SPECYFICZ-
 NIE " 17
 BRAWO NASZE PANIE!...." 17
 KTO TO JEST STAROSTA." 18
 NO TO CO?....." 19
 REWIZYTA....." 20
 PANIE TO TU!....." 20
 RZEŹBY ŁĘTOWSKIEGO...." 21
 NOWE WŁADZE ZOZ....." 22
 PIEGOWATA....." 22
 PRZEBŁYSKI....." 24
 FRA SZKI....." 24

WSPOMNIENIA

wyższym każdego kto "karabin udźwignie", to jest już rzeczą oczywistą, że do pierwszego członu zdania, iż młodzież nie robi społeczeństwu żadnej łaski ucząc się, a wprost przeciwnie - powinna być nieustannie wdzięczna za to, że uzyskała takie możliwości (jakich myśmy nie mieli) trzeba dodać drugi: społeczeństwo również nie robi łaski młodzieży. Interes jest obustronny: aby funkcjonować społeczeństwo potrzebuje określonej liczby specjalistów, stwarza tym, których na to stać możliwości rozwoju i szanse na zdobycie pozycji społecznej i zawodowej a oni będą spłacać tę szansę wysoko wydajną pracą. Że na jedno miejsce przypada kilku kandydatów - niczego nie zmienia, daje to tylko społeczeństwu szanse wybrania tych, których dyspozycje rokują najlepsze nadzieje na ukończenie studiów.

Jeśli tak, to pora na przypomnienie jeszcze jednego banału: z chwilą dokonania tej trzeciej z kolei selekcji do studiów wyższych - powodzenie lub niepowodzenie nie jest już tylko sprawą prywatną studentów. I nie od nich tylko zależna.

Wynika to również ze zmiany funkcji uczelni wyższych, które nie kształcą już, jak to drzewiej bywało, przede wszystkim kandydatów do elity społecznej ale określonej rangi fachowców dla gospodarki narodowej.

Uczelnia nastawiona na masowe kształcenie nie może już ograniczać się przede wszystkim do udostępnienia odpowiednich porcji wiedzy i ich egzekwowania. Potrzebne jest coraz dalsze odchodzenie od wzorów uczelni uszlęconych tradycją a ograniczających się do selekcyjonowania delik-

wentów, którzy gubią się po drodze. Odchodzenie w kierunku działania zgodnego z zasadami dydaktyki i zmierzającego do tego, aby tych zgubionych było coraz mniej - jest koniecznością i podstawowym obowiązkiem kadry nauczającej.

Niepowodzenia w studiach wyższych tylko w niewielkim stopniu dadzą się wytłumaczyć brakiem odpowiednich kwalifikacji i dyspozycji intelektualnych studentów; są one uwarunkowane całym szeregiem zabiegających się przyczyn, z których jedne są bezpośrednio związane z poziomem technologii procesu dydaktycznego realizowanego przez uczelnie. Inne są związane z uczelnią tylko pośrednio, jeszcze inne są zupełnie od niej niezależne.

"Pochylony nad mym stołem
we wschodzącej zorzy lunie
repe twoje opisuję,
serce twoje opisuję.

Ten obłok jest twoją twarzą,
ten horyzont, ta akacja,
Pięro maczam w kałamarnu
i litery wypowiadam.

Niech staną rządek przy rządku
jak ptaki złote i modre,
by z najprawdziwszego wątku
powstał najprawdziwszy portret.

(K. I. Gałczyński)

- Czy pozwoli Pani tę pieśń ofiarować
sobie zamiast kwiatka z okazji święta ko-
biat - zwracam się do prof. dr. Marii Mił-
kowskiej, kierownika Zakładu Telekomuta-
cji Elektronicznej.

- Ta miła i przytulna atmosfera, jaka
panuje w Pani gabinecie skłania do poetyc-
kich refleksji...

- Jak Pani - kobieta z tak wybitnie
męską specjalizacją, rozwiązująca przez
wiele lat problemy techniki na codzień, za-
ochwała jednocześnie tyle kobiecego ciep-
ła i miłości. Od kiedy datuje się pierwsze
zestknięcie z zagadnieniami techniki?

- Historia zaczęła się już na Poli-
technice Warszawskiej, którą ukończyłam w
1922 roku, jako inżynier-elektryk w pier-
wszej dziesiątce kobiet opuszczających mu-
ry tej uczelni. Ale jako kobieta nie ja
byłam pierwsza - właściwie przyszedłam już
na utartą drogę, chociaż jeszcze bez tra-
dycji. Chociaż nie do mnie należało to
pionierstwo, to jednak własną pracą nale-
żało udowodnić zaangażowanie sprawami nau-
ki i przełamać dotychczasową barierę nie-
ufności. Doostałam się na uczelnię poza
konkursiem ze względu na dobre świadectwo
szkolne z carskiego - w tym czasie - gim-
nazjum.

- Studia ukończyłam nie bez wysiłku pra-
cując cały czas zarobkowo i nie korzystając
zupełnie z żadnych dotacji ani stypen-
diów. Ukończyłam specjalizację jako
jedna z dwóch w dużym gronie kolegów.

- Jak oni w tych czasach traktowali
koleżanki ze wspólnej ławy?

- Trzeba przyznać, że choć byli pełni
galanterii i przywidu, w nauce musiałyśmy
liczyć wyłącznie na własne siły. W czasie
odrabiania laboratoriów wykazywali swoją
nadmierną rywalskość nie pozwalając mi do-
tykać żadnych przyrządów. Bolałam nad tym
ogromnie, bo lubiłam te zajęcia, ale -
trudno.

- A później? Jak było później? - po
ukończeniu studiów? Jak układały się sto-
sunki w pracy; niewiele było bowiem ko-

biat z Pani specjalizacją...

- Nigdy nie narzekałam, przez wiele
lat piastując różne kierownicze stanowis-
ka. Stosunki z ludźmi układały się bardzo
dobrze. Czasami tylko niektórzy panowie
w pierwszym okresie buntowali się przeciw
szefowi w spółnicy, ale te opory szybko
przezwyciężyli i nawiązywały się miłe, ko-
leżeńskie stosunki. Jedną z historii tego
typu utkwiła mi w pamięci. Byłam wtedy as-
systentką na Politechnice Warszawskiej u

grzechnie mnie potem przeproszał.

- Od jak dawna związana jest Pani z
Dolnym Śląskiem i Wrocławiem?

- Już w 1946 r. z niewielką grupą pio-
nierów i entuzjastów przyjechalismy na Dol-
ny Śląsk, by zorganizować tu placówki prze-
mysłowe i naukowe. Ile tu wtedy było do
zrobienia! Zostałam tu ładny kawał ży-
cia. Pierwsze lata mojej działalności na
Dolnym Śląsku związane były z uruchomie-
niem Zakładów Radiotechnicznych - obecnie
"Diora" w Dzierżoniowie a następnie z Poli-
techniki Wrocławskiej.

- Od kiedy na stałe zaaklimatyzowała
się Pani we Wrocławiu?

- Już od roku 1947 zaczęłam wykładać,
początkowo obejmując z Dzierżoniowa. Do-
pierow 1949 r. przeniosłam się na stałe
uzyskując Katedrę Teletechniki Łączenio-
wej na Wydziale Łączności.

- Tak, pamiętam, kiedy to w roku 1959
uzyskała Pani nominację na profesora nad-
zwyczajnego, jako jedyna kobieta - profes-
sor naszej Uczelni.

- Przez ten okres czasu wypuściłam
spod swej ręki wielu specjalistów z za-
kresu telekomutacji, zajmujących obecnie
kierownicze stanowiska w całej Polsce.

- Jeżeli chodzi o tego rodzaju spec-
jalizację, to nie wszystkie politechniki
mogą się nią pochwycić...

- Tak, do najsilniejszych ośrodków w
tej dziedzinie należą: Warszawa, Wrocław i
Gdańsk.

- Widzę w laboratorium studentki, wyko-
nujące prace dyplomowe. Czy jest Pani dla
nich bardzo groźna?

- Przeciwnie - czuję do moich dzieł-
czą wielką słabość. Dobrze mi się z nimi
pracuje; są bardzo solidne i obowiązkowe.

- A nad czym Pani pracuje obecnie?

- Kończę książkę pt. "Telekomutacyjne
zestyki elektryczne". W Zakładzie rozwija-
m dwie specjalizacje: 1) zestyki elek-
tryczne, 2) telekomutacja elektroniczna.
Pozą tym prowadzę 2 doktoraty, a w przy-
gotowaniu jest otwarcie trzech dalszych.

- Podziwiam niesłychaną energię i og-
romne poświęcenie sprawom nauki.

"Oto jest nasz dzień oddzienny,
nasze małe budowanie,
trud uparty i niezmienny
nieustanne kształtowanie.

Z dnia na dzień tkaninę tkamy
wzorzystą dla pokolenia,
choćabym i blask naszej lampy
ocalić dla zapomnienia."

(K. I. Gałczyński)

Rozmawiała: NATALIA

WPLĘCIONE W PIEŚNI

prof. Trechońskiego i egzaminowałam z Te-
lefonii Automatycznej. Jeden ze studentów
w wyższej randze bardzo się oburzył, uważa-
jąc za dyshonor dla wojskowego zdawa-
nie egzaminu u kobiety. Poprosił przeto
profesora o przeegzaminowanie. Profesor z
ogromnym poczuciem humoru podał mu do wie-
domości, że dziś nie pyta i albo będzie
sądawa u jego asystentki, albo musi zre-
zygnować z egzaminu.

- Jak się pani domyśla - wszystko skoń-
czyło się pomyślnie: "honorowy" wojskowy

UMOWY PROGRAM

Jednym z najistotniejszych elementów procesu dydaktycznego, decydującym - jak się wydaje - w dużym stopniu zarówno o jakości jak i o sprawności kształcenia na poziomie wyższym, są plany i programy studiów. W pierwszym wypadku chodzi o dobór odpowiednich adekwatnych do założonego modelu absolwenta treści programowych, w drugim - o dobór ilościowy materiału nauczania na poszczególnych latach i kierunkach studiów.

Rozważania nad pierwszym aspektem tego zagadnienia odłożymy na razie do sposobniejszego czasu; spróbujmy natomiast przypatrzeć się bliżej adekwatności programów nauczania do możliwości ich realizacji w określonym czasie, dla przeciętnej populacji studentów.

Istnienie związku między nasileniem niepowodzeń w studiach a możliwościami sprostanania wymogom programowym przez przeciętnego studenta, w określonym czasie, określonej ilości godzin pracy w ciągu doby, zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości. Czas, jaki człowiek może poświęcić w ciągu doby na pracę w ogóle, a na wydajną pracę umysłową w szczególności, jest limitowany nie tylko ograniczeniami biologicznymi ale i całym szeregiem uwarunkowań i potrzeb społecznych. Całkowite zamknięcie się studentów tylko w kręgu problemów nabywania odpowiednich fachowych umiejętności, kosztem pełnej izolacji od życia społecznego, nie byłoby celowe ani nikomu potrzebne.

Naturalnie różnice indywidualne między poszczególnymi osobami pod tym względem mogą być dość znaczne, nie wydaje się to jednakże dla naszych rozważań najważniejsze, ponieważ ilościowe obciążenie programów musi się liczyć nie z wyjątkami a z przeciętną zdolnością do podążania o określonym obciążeniu pracą w ciągu doby.

Oczywiście zdanie poprzednie jest prawdziwe tylko wtedy, jeśli przyjmiemy na pewno, że nie studenci najzdolniejsi i jednocześnie najbardziej wytrzymali na obciążenie pracą, ale również osłabniony o przeciętnej zdolności do wysiłku są również predestynowani do ukończenia studiów w ogóle oraz do ukończenia ich w określonym programem czasie w szczególności. Jasne postawienie tej sprawy wydaje się autorowi niniejszego elaboratu niezwykle ważne, ponieważ przekonanie, że zasadniczą funkcją uczelni jest przede wszystkim selekcjonowanie rzuczonego na głęboką wodę, oddzielnie "ziarna" od "plewy" a nie nauczanie, wcale nie jest tak odosobnione, jakby się to mogło wydawać.

Skoro jednakże zgodzimy się, że zadaniem uczelni nie jest selekcja pozytywna "geniuszy" (spośród przyjętych na studia w wyniku już przecież trzeciej z kolei selekcji - szkoła podstawowa, szkoła średnia i wreszcie egzamin wstępny) a kształcenie z tego wyselekcjonowanego przeciw materiału dobrych inżynierów, to adekwatność programu do przeciwnych możliwości delikwentów staje się sprawą oczywistą i bardzo ważną. Warto może na wszelki wypadek przytoczyć jeszcze jeden banał. Gdybyśmy dobrali na samym początku z całego kraju tylko samych geniuszy to i wśród nich mielibyśmy podobne zróżnicowanie pod względem dyspozycji jak w przeciętnej populacji studentów; zagadnienie programów w odniesieniu do "geniuszy", może tylko na nieco wyższym poziomie, stanęłoby w takiej samej ostrości.

Zgodnie z założeniami przyjętymi na konferencji w Międzyzdrojach, pełna realizacja programów nauczania winna się zamknąć w około 36 godzinach wykładów i ćwiczeń i około 18 godzinach pracy własnej studentów w ciągu tygodnia. Wyłączając niezdzielenie i święta (przeznaczone na konieczny przecież choćby ze względów biologicznych odpoczynek) daje to około 9 godzin pracy umysłowej dziennie. (Myślę, że rozważania na temat, czy aby postulowane przez konferencję w Międzyzdrojach obciążenie nie jest zbyt małe, możemy sobie podarować; ze spokojną głową można przyjąć, że i to obciążenie jest także na granicy norm biologicznych).

Oczywiście czas potrzebny na przyswojenie sobie określonych treści przez studenta lks nie jest równy czasowi, jaki na wykonanie tego samego zadania potrzebuje Wyrek; zależy to od całego syndromu cech indywidualnych i mogą tu występować odchylenia zarówno w jedną jak i w drugą stronę, niemniej zbyt duże odchylenia odprze-

ciętej nie powinny dotyczyć zbyt wielkiej liczby osób.

Z badań nad budżetem czasu studentów pierwszego roku wynika, że tylko 25,3 % badanych mieści się w przewidzianych normach pracy własnej poświęcając uczeniu się mniej niż dwadzieścia godzin tygodniowo, a 23,2 % uczy się ponad 35 godzin. Dla tych 23,2 % dzień pracy liczy sobie co najmniej 11,8 godzin. Dla 7,7 % studentów - 13,5 godzin.

Fakt, iż prawie co czwarty student pierwszego roku dwu- lub więcej-krotnie przekracza przewidzianą normę średni czas nauki własnej, jest zjawiskiem niepokojącym i musi zmuszać do refleksji i podjęcia określonych działań. Z innych badań przeprowadzonych w naszej szkole wynika, że normy czasu nauki własnej przekracza znacznie ponad 40,0 % studentów pierwszego roku Wydziału Elektrycznego, ponad 46,0 % studentów pierwszego roku Elektroniki, blisko 30,0 % drugiego roku i 12,5 % trzeciego roku Wydziału Elektrycznego. Znaczące przeciętnie programów nauczania potwierdzają również badania przeprowadzone w Politechnice Warszawskiej. Przy czym, charakterystyczne, że badani pracownicy warszawskiej uczelni stwierdzają znacznie większe przeciążenie programów niż studenci tej uczelni. Wydaje się, że różnice zdań między pracownikami a studentami wyjaśnia fakt, że pracownicy podawali czas potrzebny na pełne opanowanie programu z własnych przedmiotów, zaś studenci czas faktycznie poświęcony nauce.

Chodzi po prostu o to, że jeśli obciążenie programów przekracza pewną dopuszczalną granicę, to większość studentów i tak poza tę granicę nie wychodzi i nie może wychodzić. Jest to znana parkinsowska "granica odmowy". Znaczy to tylko tyle, iż w jakiejś części program nie jest realizowany i nie może być realizowany. Musi więc działać albo przemykanie oczu na pewne niedostatki w wiedzy studentów, lub też wysyłanie studentów na roczne lub dłuższe dojrzwanie.

Przyjmując, że człowiek nie jest w stanie przekroczyć pewnej górnej granicy obciążenia, jedynym realnym wyjściem z tej kwadratury koła jest rozsądna rewizja programów.

W sytuacji lawinowo narastającej wiedzy, programy nie mogą obrastać coraz to nowymi treściami bez jednoczesnego eliminowania z nich treści mniej ważnych lub historycznie zdezaktualizowanych.

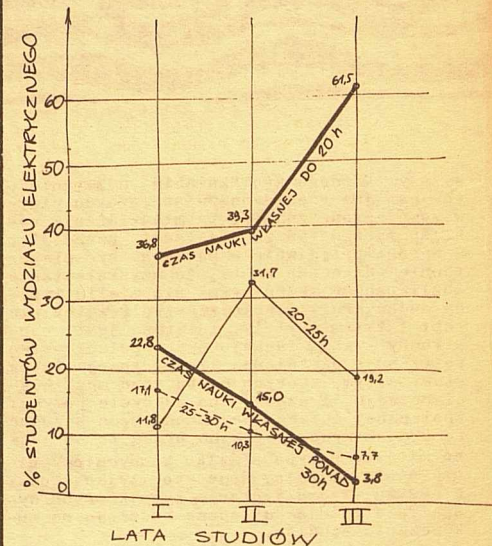
Według opinii badanych studentów Wydziału Elektroniki i Wydziału Elektrycznego na pierwszym roku najbardziej są przeciążone programy z matematyki, natomiast na dwóch starszych latach Wydziału Elektrycznego programy z elektrotechniki i ekonomii politycznej. Do najbardziej czasochłonnym przedmiotów należą również geometria wykreslna, której najwięcej godzin nauki własnej poświęca ponad 24,0 % studentów i rysunek techniczny, który jest najbardziej pracochłonnym przedmiotem dla ponad 22,0 % studentów pierwszego roku elektrycznego.

Respondenci skarżą się, że ogrom materiału włożony w wąskie ramy czasowe, przewidywane na wykłady i ćwiczenia, stwarza olbrzymie trudności w nadążaniu za zbyt szybkim tokiem wykładu i tokiem myśli wykładowcy, czy prowadzącego ćwiczenia asystenta, który - poganiany zegarkiem - uprawia bieg przez płotki bez oglądania się na nienadążających za nim delikwentów. (Problem jakości wykładów i ćwiczeń stanowi zagadnienie osobne i jeszcze do niego wrócimy).

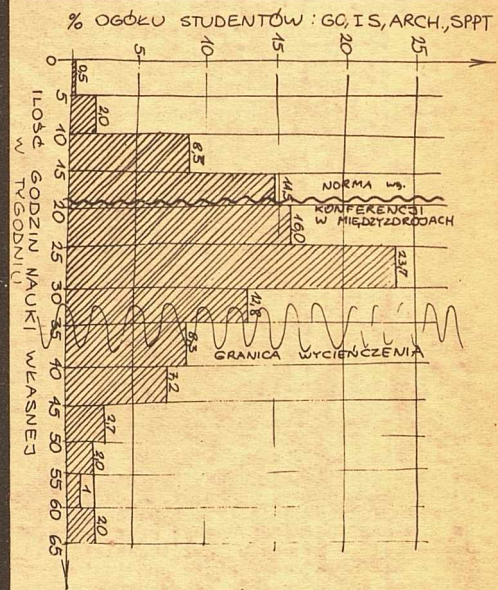
W każdym razie część studentów w jakimś punkcie wykładów lub ćwiczeń gubi się, przestaje rozumieć o co chodzi - wytwarza się luka w wiadomościach, która w przedmiotach ściślejszych w dużym stopniu uniemożliwia percepcję dalszych porcji przekazywanego materiału, aktywny udział w ćwiczeniach i korzystanie z nich. Korzyści z uczestnictwa w zajęciach zblizają się do zera, zaczyna się więc samotna pogoda, a jeśli się nie udaje, to wtedy - zgodnie z nawykami wniesionymi ze szkoły średniej - zaczyna się wkuwanie całych partii materiału na pamięć, co prędzej czy później musi się skończyć katastrofą i odesłaniem na łączkę zieloną lub na dłuższy odpoczynek. Niezwykle dużo czasu zabiera studentom również przepisywanie tasiemcowych sprawozdań z laboratoriów; nie, to nie pomysłka - na ogół ktoś jeden z grupy opracowuje potrzebny do zaliczenia elaborat, natomiast reszta pracowicie przemalowuje własnym charakterem pisma, aby wymogom uczynić zadość. Tu ciśnie się uwaga: albo ograniczyć tasiemcowe sprawozdania, albo może sprowadzić je do rozsądnych rozmiarów, ale w takim układzie wymagać, aby ich indywidualność nie budziła zastrzeżeń.

Z zebranych materiałów dotyczących obciążenia studentów wynika jednoznacznie, iż studenci lat starszych generalnie uczą

się mniej niż ich koledzy z lat pierwszych. Na latach starszych wyraźnie maleje odsetek studentów poświęcających na naukę własną ponad 20 godzin tygodniowo; zwiększa się natomiast liczba uczących się około 15 godzin w tygodniu.



Przeciętny czas nauki własnej w tygodniu



Mamy tu więc do czynienia z pewną prawidłowością, której nie da się chyba wytłumaczyć zmniejszającą się obciążeniem programów na starszych latach. Jest ona prawdopodobnie wynikiem pewnej beztróski i osłabienia początkowego zapasu i fascynacji nową rolą studenta uczelni wyższej oraz intensywnego udziału w życiu społecznym i towarzyskim. Wydaje się jednakże, że jest to również wynikiem przystosowania się do systemu dydaktycznego uczelni wyższej, opanowania bardziej wydajnych metod uczenia się, racjonalniejszej organizacji pracy. Czasami wyraża się to również w umiejętności wykonywania pewnych uników w "polu ostrzału", umiejętności "studiowania" - to jest zadowolenia dydaktyków maksymalnie wiarygodnymi poziomami wiedzy przy wykorzystaniu ich osobistych słabości i hobbies.

Iłtecz jednakże w tym, że tylko część studentów rzeczywiście opanowuje pewne techniki lepszej organizacji i wydajniejszej pracy, natomiast wzór zmniejszonej ilości godzin poświęconych nauce upowszechnia się wśród całej populacji danego roku studiów. Wydaje się całkiem uzasadnioną hipoteza, że odpadają przede wszystkim ci, którzy w porę nie opanują ekonomicznego i wydajnego sposobu uczenia się a jednocześnie nie za przykładem innych mniej czasu po-

święcącą na studiowanie.

W każdym razie potrzeba zwrócenia większej uwagi, szczególnie na ćwiczeniach, na opanowanie racjonalnych metod pracy i sposobów uczenia się, właściwych poszczególnym przedmiotom, zdaje się nie ulegać wątpliwości.

Przeciążenie programów nie ogranicza się tylko do związku z rozmiarami niepowodzeń w studiach. Przeciążeniu temu dąłoby się również przypisać liczne nerwice, ogólne wyczerpanie nerwowe, trwałe przemęczenie organizmów, pogłębiane brakiem możliwości skutecznego wypoczynku na pracach lub zajęciach fizycznych, obejmującego zgoła symboliczną ilość godzin. Osobiście nie odważyłbym się wypowiedzieć zdania, że te ostatnie skutki są mniej ważne od liczby niepowodzeń. Nie interesują nas bowiem tylko ilości wykształconych inżynierów, lecz przede wszystkim możliwości wydajnej pracy. Osiągnięcie mety - dyplomu przez śmiertelnie wyczerpanego "zawodnika" jest raczej klęską systemu dydaktycznego, niż sukcesem.

ĆWICZENIA CZY EGZEKUCJA?



Przeciążenie programów - to tylko jedna z przyczyn nadmiernego odsiewu, zależna od użelgni; druga i może ważniejsza - leży w przejawach niewłaściwej ich realizacji.

Badani studenci wypowiadają szereg uwag krytycznych - zarówno pod adresem organizacji procesu nauczania jak i konkretnych wykładów i ćwiczeń, atmosfery panującej na wykładach i ćwiczeniach i stosunku kadry nauczającej do studentów. W wielu wypadkach - według opinii respondentów - ćwiczenia ograniczają się właściwie do egzekwowania wiadomości i wystawiania ocen. Na ćwiczeniach przerabiane są przykłady najprostsze, natomiast zagadnienia trudniejsze i bardziej skomplikowane ceduje się na własne siły studentów. Wskazywano przykłady ćwiczeń polegające na tym, że prowadzący sam rozwiązuje przykłady, przerywając czasami pracowite pisanie na tablicy pytaniami w rodzaju "państwo oczywiście rozumieją" lub "kto nie rozumie?". (Na ogół ochętnych brak, co należy przypisać między innymi wnioskowi wyciągniętemu przez grupę z doświadczeń śmiazków, którzy odważyli się czegoś tam na ćwiczeniach nie rozumieć). Po czym naturalną rzeczą kolejną na następnych ćwiczeniach następuje egzekwowanie w ten sposób przećwiczonego materiału i znowu od początku. Zdaniem wielu respondentów ćwiczenia w zbyt małym stopniu przyczyniają się do zrozumienia materiału i opanowania metod rozwiązywania określonych typów zagadnień, co jest chyba ich zasadniczym zadaniem. Następnym mankamentem rzutującym na powodzenie w studiach jest w wielu wypadkach brak korelacji między ćwiczeniami a wykładem. Zdarza się czasami, że ćwiczenia dość daleko wyprzedzają wykłady. Podkreślano również, zdarzające się nierzadko wypadki niewłaściwego stosunku prowadzących zajęcia do studentów, polegające na lekceważeniu, popisaniu się własną wiedzą i wyższością, wykazywaniu na każdym kroku ignorancji studentów itp. (czasami w skrajnych wypadkach własna wizja programu prowadzi do tego, że o zaliczeniu ćwiczeń czy nawet zdaniu egzaminów może zdecydować odpowiedź na pytanie ile miesięcy trwa cięża słońca). Wskazywano także na wykłady polegające na czytaniu lub dostowym cytowaniu podręcznika lub skryptu.

Inną przyczyną, wpływającą dość silnie na rozmiary niepowodzeń jest - zdaniem respondentów - zbyt krótka i nie zawsze dobrze zorganizowana sesja egzaminacyjna. Często brak choćby parodniowej przerwy między jednym a drugim egzaminem. Nagromadzenie dużej ilości trudnych egzaminów w krótkim interwale czasowym jest powodem załamania się osób mniej odpornych psychicznie.

To, co wyżej powiedziano, nie jest usprawiedliwieniem niepowodzeń studenckich. Jest tylko ich, częściowym zresztą, wyjaśnieniem mającym na celu wskazanie kilku problemów, których rozwiązanie jest od studentów niezależne a niezbędnie potrzebne. Potrzebne do przekształcenia Politechniki - sita w Politechnikę - szkołę.

JAN OSIŃSKI

Fot. A. Milli



Wspinam się do góry po prostych, wymięcionych schodach. Z prawej strony słychać, jak ktoś rżnie drzewo.

- Macie tu warsztat stolarski?

- Nie, to w naszym klubie.

- W klubie? - nie zdążyłem dosadnie wyrazić swojego zdziwienia, bo Franek pohnął drzwi wahadłowe i znaleźliśmy się wewnątrz klubu "TELEMIK".

O ile przed chwilą byłem tylko trochę zdziwiony, to obrazek, który zobaczyłem wprowadził mnie w zdumienie. Długa, kisz-kowata sala, podparta kilkoma kolumnami, pełna była pociętego drzewa, narzędzi stolarskich, huku młotków i pił oraz gorączkowo pracujących ludzi.

- Urządzamy klub - rzucił Franek.

- Skąd macie materiały, forszę, robotników?

- Robotników? Wszystko własnymi siłami. A materiały ... Sam widzisz - wszystko można znaleźć na ulicy.

- Rzeczywiście. Ale skąd tyle pasji,

czyń klubu. Słyszałem taką historyjkę: Lekko podchmielony chłopak był zbyt natarciwy wobec dziewczyny. Kiedy wszystkie argumenty już się wyczerpały, dziewczyna mówi: - Jak dalej taki będziesz, poskarżę szefowi RM. Chłopak błyskawicznie wytrzeźwiał.

Nie wiem, czy odpowiada to prawdzie, ale faktem jest, że Franek cieszy się olbrzymim autorytetem. Co wcale nie przeszkadza mu być uroczym człowiekiem, który potrafi zabawić najbardziej ponure towarzystwo. Sławne są jego monologi ściągające zawsze grupy słuchaczy. Sam słyszałem monolog pt. "Cybernetyka a impotencja".

Mówi Franek:

- Zdawałem sobie sprawę z ciężaru i odpowiedzialności, które brałem na siebie, ale jakoś w tej sytuacji nie mogłem odmówić. A trzeba było mieć dużo optymizmu, by uwierzyć, że wszystko się jakoś ułoży. Stary aktyw niezbyt ufnie spoglądał na nowego szefa. Mieszkańcy też nie bardzo wie-

Frank nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Zaczęli znosić deski, beczki, butelki, pieniki, farby, ba - nawet koło od wozu. Heniek od rana do wieczora siedział w klubie. Okazało się, że pędzel leży mu w ręce niegorzej niż lutownica. Dziwił nikt nie chce uwierzyć, że dekoracje zdobątkie klub nie były robione przez profesjonalnych plastyków. Duży ruch w klubie i widoczne efekty sprawiły, że nie było kłopotów z rękami do młotki, piły i sprzątanía. Każdy chciał mieć swój udział. Choćby najmniejszy.

Tymczasem kierownikiem klubu został Włodek Szlachcic. Ruchliwy, szorstki, nerwowy, wszystko potrafił załatwić. Nie bez racji mawiają: "Gdzie jest Szlachcic, tam nie ma spokoju".

Ale Włodek wnosi dobry, twórczy niepokój. Stworzył Radę Klubu - zgrany kolektyw, który robi dobrą robotę. Zapchał klub imprezami, nie ma wolnego dnia. Przyszedł też nowy skarbnik - Maciek Zenker.

- Dobry skarbnik - to połowa kłopotów z głową - mówi Franek - a Maciek jest znakomity.

15 listopada wypadła X rocznica nadania imienia "Telemik" domowi studenckiemu. Okazja do galówki, zaprezentowania dorobku, pozyskania sobie zwolenników. Wykorzystali ją do końca. Franek z Włodziem niejedną noc stawili nad dokładnym reżyserowaniem każdej chwili uroczystości. Nieraz próbowali oficjalne przemówienie i powitanie. Ustalali listę gości. Wreszcie nadszedł uroczysty dzień. Wystrojony Franek z chlebem i solą na tacy mówi:

- Witam Jego Magnificencję Rektora... Pęka butelka szampana i rusza polonez. A potem zabawa, zabawa... Do rana.

Nie wszystko wyszło tak, jak chcieli, ale kiedyż życie pozwala się nagiąć do z góry przygotowanych planów? Jubileusz był tylko etapem w pracy nad klubem. Nie osiedli na laurach.

A tu szybko przychodził koniec kadencji. Zbliżały się wybory.

- Na te wybory szekaliśmy z utęsknieniem - mówi Franek. Złożyło się na to kilka powodów. Raz, że status Rady mianowanej jest dość niewygodny; nie stwarza odpowiedniej atmosfery do roboty, sytuacja jest jakby nie do końca określona; dwa - wybory stwarzają szansę zebrania kolektywu opartego na wzajemnym zaufaniu, pozwalają zwiększyć wymagania wobec siebie i wszystkich, którzy dali nam kredyt zaufania.

Konferencja sprawozdawczo-wyborcza była okazją do rozrachunku, nowych propozycji i pomysłów. Wybory przebiegały bardzo uroczysto. Duża frekwencja świadczyła o zainteresowaniu i pełnej świadomości mieszkańców. Nie było zaskoczenia. Ponownie wszedł Franek i większość starej Rady. Zaświadczyło to najlepiej, że nie zawiedli pokładanego zaufania.

Zaraz po wyborach przedstawili mieszkańcom do dyskusji program całokształtu RM w nowej kadencji. Program, doskonałe opracowany, został powielony i rozdany niemal do wszystkich pokoi. Zaplanowano między innymi budowę salki rekreacyjnej w piwnicy, warsztatu technicznego, urządzenie pomieszczenia dla krótkofalowców, założenie sieci telefonicznej i inne.

- Wierzę, że uda im się to wszystko urzeczywistnić. Klub ma być całkowicie gotowy na 8-go marca.

Na ten dzień planują wielką pokazową imprezę, koronującą prawie roczny wysiłek.

Na zakończenie rozmowy Franek opowiada, jak zdobywał materiały do klubu.

- Drewno na ławy i stoły oraz opieki fachowej dostarczył nam warsztat stolarski z T-4. Brakowało jeszcze takich drobiazgów, jak gwoździe, kawałki drutu, odrobina cementu itp. Niewiele myśląc, przeskoczyłem płot i zacząłem szukać tego na sąsiednim placu budowy. Złapał mnie stróż. Z trudem wytłumaczyłem mu, o co chodzi. Kazał mi zrobić spis potrzebnych rzeczy i przysłać do biura. Nie bardzo wierzyłem, że coś z tego wyjdzie. Przysłali wszystko.

- Czy to znaczy, że absolutnie wszystko udaje ci się osiągnąć? - pytam

- No, do pełnego szczęścia brakuje mi jeszcze kilku rzeczy: byłoby dużo łez, gdyby nasze pomysły i inicjatywy przestały budzić zdumienie i niedowierzanie, zwłaszcza u ludzi, którzy mają wyrażać zgodę, gdyby koledy zrozumieli, że pracują dla siebie i jeszcze chętniej i gromadniej, niż dotychczas, garnęli się do pomocy. I wreszcie drobna, ale bardzo bolesna sprawa. Zebrania. Rozumiem konieczność wspólnych spotkań, ale bez przesady, nie kilka razy w tygodniu. Prośba do was, panowie działacze wyższych szczebli: mniej gadania, mniej marnotrawstwa czasu, mniej zebrań! To ułatwi nam prawdziwą pracę.

Dziękuję gospodarzowi i wychodzę. Żegnajcie "Ostatni walc" z przed chwilą założonych kolumn głośnikowych.

dzieli, z kim mają do czynienia. No bo tyłu już rezygnowało, a tu nagle jakiś Nowak. Tymczasem przyszedł czerwiec ...

Sesja na karku i do tego mnóstwo zaległej roboty w Radzie. A Franek nie zamierzał porzucić na nominalnym objęciu funkcji i rozdzieleniu pokoi. Miał ambicje, swoją koncepcję roboty, konkretne plany i pewność, że je zrealizuje. Kibice czekali, kiedy potamie zęby. Poszumaj, jak każdy nowy i - przedjdzie mu.

Ale nie przeszło. Pierwsi dali się porwać koledy z Rady: Heniek Malczewski, Janusz Karbowski, Grzesiek Giełbaga. Uporali się z bieżącymi sprawami. Przed wakacjami zdążyli jeszcze zrobić dużą akcję w dziedzinie czystości i higieny. No i zabrali się za klub.

"Telemiku" obudź się!" - wołały napisy przyklejone na wszystkich możliwych miejscach.

- Najtrudniej było ich przekonać, że nie skończy się na gadaniu. Że wszystko, co na języku, będzie konsekwentnie wprowadzane w życie. Tu nieodzowny był własny przykład. Toteż zamiast namawiać i agitować, podkasałem rękawy. Niewiele bym zrobił, gdyby nie doskonała współpraca i rozumienie ze strony administracji. Kierownik DS T-2, pan Nowakowski, szybko zrozumiał, że ten zapał może zaowocować i pomagał ze wszystkich sił.

Na rezultaty tego naśladowania nie trzeba było długo czekać. Zebrała się grupa chętnych do urządzenia klubu. Na pierwszym miejscu trzeba wymienić Henka Idczaka.

- Ty zorganizujesz co trzeba, a ja zrobię resztę - powiedział do Franka.



SZEF W KURAJ GE

zapału do pracy?

- Ba, teraz to już łatwo, choć początki były niezbyt różowe.

Ale zaczynajmy od początku:

Rozmawiam z Frankiem Nowakiem - przewodniczącym Rady Mieszkańców domu studenckiego elektroników, T-2.

- Nasz akademik ma tradycję dobrze pracujących rad. Zwykle bywało tak, że stara rada budowała fundamenty pod pracę nowej. Dzieliła się doświadczeniami, przygotowywała ludzi. Ale przyszła wiosna 1968 roku ... I zdarzyło się, że radę zmieniono w sposób nagły. Wypłynął problem znalezienia nowych ludzi. To był trudny problem. Padały różne kandydatury, ale żadna nie spełniała wszystkich wymagań, które - trzeba przyznać - były dość wygórowane. Atmosfera stawała się coraz bardziej nerwowa. Pogarszał się także klimat, w którym trzeba było podjąć trudną pracę odbudowy zaufania i sprowadzenia dużego chaosu do normy. W końcu pracujący przez kilka tygodni Marian, chłopak o dużym autorytecie i cieszący się olbrzymim zaufaniem, który niestety musiał odejść, zapropomował Franka.

Patrzę na swojego rozmówcę i przewodnika. Wysoki, czarny, przystojny młodzieniec o ciepłych oczach i szerokim uśmiechu. Przy tym wszystkim wyraz twarzy i cała postawa świadczą, że lepiej nie mieć innego niż on zdania. Zawsze potrafi postawić na swoim. Bożyszczce stałych bywal-

lektoraaty...

REFLEKSJE W ZWIĄZKU Z "LEKTORATAMI NAUK
POLITYCZNYCH", KTÓRE ROZPOCZYNAJĄ SIĘ
W SEMESTRZE LETNIM

Minister Oświaty i Szkolnictwa Wyższego zarządził 5.II.ub.r., że na roku II, III i IV w szkołach wyższych należy uruchomić tzw. lektoraaty nauk politycznych. Lektoraaty mają w wymiarze 30 godzin pogłębić wiedzę studentów z zakresu rozmaitych zjawisk wiążących się z mechanizmem działania państwa i jego organów oraz charakterem dążeń klasowo-społecznych we współczesnym świecie. Program zahacza o niektóre zagadnienia ekonomiczne i socjologiczne, o problemy psychologii społecznej, teorii rozwoju społecznego a nawet wiąże się z nauką teorią organizacji i zarządzania.

1.I.1969 r. został powołany w Politechnice Wrocławskiej Instytut Nauk Społecznych, który obejmuje 7 Zakładów: Prognoz Gospodarczych, Analiz Ekonomicznych, Badań Wzrostu Gospodarczego, Badań Regionalnych, Filozofii, Nauk Politycznych oraz Pedagogiki Szkolnictwa Wyższego. Zespół pracowników dydaktyczno-naukowych rozmieszczony w wymienionych zakładach, specjalizujących się w sferze nauk społecznych, ma więc obowiązek realizowania nakreślonego uroczajonego programu "Lektoratów". Przede wszystkim jednak lektoraaty będą prowa-

Nieraz słyszy się powątpiewanie: na co zda się nauczanie "Podstaw nauk politycznych"? Być może, iż wątpliwość powyższa wynika m.in. z braku tradycji. Niepomierne bowiem rzadziej poddaje się w Polsce w wątpliwość nauczanie tradycyjnych przedmiotów, np. historii, nawet wtedy, gdy np. poza Anglią na serio omawiane są tak odległe tematy historyczne, jak "wpływ czwartego małżeństwa Henryka VIII na ewolucję doktryny kościoła szkołkiego". Tymczasem jakże często i jak bezpośrednio dotyczą nas wszystkich żywotne problemy aktualnej, trudnej współczesności!

Potrzeby realnego, ludzkiego życia oraz współzależności polityki i rozwoju ekonomicznego, społecznego narodów - są to sprawy, które wymagają dyskusji, objaśnień i naukowej wykładni. Nie można po prostu uciec przed polityką, nie ma bowiem we współczesnej cywilizacji tzw. kóna natury ani idyllicznej krainy bez ekonomiki i władzy państwowej. Podobnie więc, jak nie można egzystować ignorując bodaj podstawową znajomość pisma i liczb, nawet gdyby nie dawały one szczęścia, nie może dzisiejszy człowiek ignorować polityki. Elementarne znanstwo konkretnego a nie wymyślonego podłoża sytuacji międzynarodowej oraz podłoża ekonomiczno-ustrojowego Polski, może usunąć wiele stresów, którymi niewiedza i mroczna plotka obciążają nasze poczucie równowagi psychiczno-moralnej. Nauczanie po-

noć "nauczanie polityki", aplikowane na zajęciach akademickich, mija się z tzw. prawdą. A jaka jest ta prawda? Mówiło się np. u nas w Polsce, że do pamiętnego 1939 roku, że "nasz Kraj jest mocarstwem". Dziś mówi się zawsze, że jesteśmy średnim państwem. Co jest bliższe prawdy - nie ulega chyba wątpliwości. Mówiło się ongiś, także w prasowych komentarzach politycznych, o "prawdziwej" suwerenności - bywało - w niemądrym kontekście tego, jak to minister Beck, ów "wytrawny dyplomata" zaimponował Halifaxowi i Europie kolekcją swoich skąwetnych trzystu krawatów. Drogo kosztowało później takie nauczanie polityki. W ostatniej wojnie na każdych 1000 mieszkańców naszego kraju zginęło aż 220. Sojusznicy z zachodu utracili odpowiednio: Francja 15 obywateli, Anglia 8, USA 1 - słownie: jednego obywatela na każdych 1000 mieszkańców. Te fakty przypominano w imię prawdy z trybuny V Zjazdu Partii.

Współczesność, w której żyjemy, znajduje odbicie w wyobraźni politycznej oraz w świadomości mas. Stopień świadomości może przyczynić się do postępu lub - gdy świadomość jest fałszywa - może ów postępek hamować. Jakość świadomości i wyobraźni politycznej zależy w znacznym stopniu od tego, jak kształtowane będą ludzkie poglądy, sfera ideowa oraz sfera ludzkiej wiedzy. Chodzi także o przystosowanie młodego społeczeństwa do ekonomicznego rozwoju cywilizacji i kultury.

O tym, że w zjawiskach politycznych nie ma jakiegoś automatyzmu, świadczą chociażby następujący przykłady: oto my, współcześni obywatele PRL - nawet gdyby pominąć tzw. stopień orientacji politycznej i przywiązanie do ideałów socjalizmu - przywykliśmy już do osądów, w znacznej mierze kierujących się kryteriami ogólnoludzkimi i humanistycznymi, internacjonalistycznymi i patriotycznymi. Jesteśmy także - nawet nieraz tego nieświadomi - przyzwyczajeni do kryteriów nowoczesnej a więc socjalistycznej sprawiedliwości społecznej. To m.in. różni nas w wydatny sposób od mieszkańców krajów burżuazyjnych, o czym łatwo się przekonujemy podczas okazjonalnych choćby pobytów w państwach kapitalistycznych. Skłonni więc jesteśmy niejednokrotnie nie doceniać szowinistyczno-nacjonalistycznych postaw, np. przeciętnego mieszkańca NRF. Tymczasem to takie proste, że ludzie żyjący w tamtych krajach mają najczęściej na uwadze w y r a c z n i e własne, egoistyczne oraz nacjonalistyczne interesy! Cóż w końcu ma ich powstrzymać od egoistycznego punktu widzenia, jeżeli rewanżyzm i szowinizm jest w krajach burżuazyjnych równoznaczny z patriotyzmem, jeżeli zamiast poczucia grozy nad zbrodniami ludobójstwa, wołającymi o pomoc do niebios, pielęgnują w NRF chekpliwą pamięć o tym, że było się o krok od panowania nad światem? Oni - naród niemiecki, szczególnie utalentowany organizacyjnie, "znakomicie zdyscyplinowany", "pedantycznie schludny i pracowity"; "w rekordowym czasie 20 lat powojennych osiągnąjący stan niebywałego dobrobytu"?

Kto chce zrozumieć poetę, musi się wczuć w jego kraj, jak mówi Goethe. Przeżyliśmy okres powojenny w państwie typu socjalistycznego, trudno więc nieraz pojąć, że naprawdę istnieją jeszcze dziś narody, które na serio mogłyby nie liczyć się w określonych i sprzyjających warunkach z innymi narodami, posługujące się niejednokrotnie prymitywną inwektywą, nieukrywaną pogardą i psychopatyczną, napastliwą nienawiścią wobec innych narodów; przypomnę chociażby polityczne komiksiki i broszury swobodnie publikowane zwłaszcza w NRF i USA. Nasi rodzimi niedowiarkowie, wyczuleni na "prawdziwą demokrację zachodnią", nie chcą nieraz wierzyć, że po tamtej stronie Polacy - to nader często istoty rzekomo obciążone dziedzicznie, naród analfabetów i zbrozeńców o najdzikszych instynktach. Niektórzy znowu, nasi polityczni poszukiwacze prawdy /zresztą ci najbardziej uczciwi/, z powodu ignorancji w sprawach polityki przypominają jednego z ówch uczonych lwowskich zamordowanych przez faszystów - ku czci których wzniesiono pomnik na Placu Grunwaldzkim przed gmachami naszej Politechniki. Ów bezstronny intelektualista, wstrząśnięty wieściami o bestialstwach faszystowskiego okupanta, wyrzekł ponoc w najwyższym uniesieniu niebawem w jego ustach słowa: "To dla mnie Hitler nie jest już dżentelmenem".

Nauczanie polityki studentów szkół wyższych ma więc istotny sens: daje bowiem możliwość poznania abecadła współczesnego świata, racjonalnego samookreślenia się w świecie, w państwie, wśród klasowej rzeczywistości, w środowisku własnego zespołu ludzkiego, którego rzekomo "wewnętrzne" sprawy mogą stać się nieraz wariantem polityki.

lektoraaty...

dzili pracownicy Zakładów Nauk Politycznych. Do nich głównie należy zadanie wyjaśnienia sensu określonych instytucji i pojęć takich np. jak: teoria struktury i funkcji społecznej, więź społeczna, konwergencja, technokracja, polityka administracyjna, działalność wyspecjalizowanych organów ONZ...

x
x x

Wyrażę zapewne truizm twierdząc, że istnieją naturalne wymogi wobec pracowników dydaktycznych zajmujących się nauczaniem polityki. W Zakładzie Nauk Politycznych Politechniki jest przestrzegana zasada - chyba rozsądna - że wszyscy bez wyjątku statowi wykładowcy oraz kadra asystencka muszą się legitymować uprzednią praktyką zdobytą w szkolnictwie. Ogólna wskazówka metodyczna jest i to, aby zajęcia były prowadzone interesująco, żywo oraz w pięknej polszczyźnie. Kadra nauczająca polityki musi więc usilnie i stale pracować nad sobą. Musi też rozwijać własne badania nad wybranymi dziedzinami rzeczywistości społeczno-gospodarczej i politycznej, gdyż inaczej nauczanie polityki sprowadzi się może do scholastycznego powtarzania tzw. absolutnych definicji i formułek. Wykłady oraz inne zajęcia nie mogą też polegać jedynie na wyjaśnieniach agitacyjnych haseł i stereotypów, lecz głównie wynikać mają z rozwijającej się wiedzy, której źródłem są konkretne badania oraz lektura naukowa.

lityki może służyć również w tym celu, aby w imię zdrowia psychicznego ani nie demonizować, ani nie popadać w angelologię, słysząc odgłosy epoki pełnej zarówno niebywałych osiągnięć myśli ludzkiej, jak też niepokojów i sprzeczności wstrząsających światem. Nauczanie polityki ukatwia więc objaśnienie wszechogarniających zmagających się nowym a starym.

Trzeba zdawać sobie sprawę, że absolutnie opuszczający wyższą uczelnię nie może być zasklepiony jedynie w wąskim wycinku własnej fachowej specjalności, tym bardziej, że właśnie cenzus wyższego wykształcenia zobowiązuje do orientacji w dzisiejszym świecie. Ludzkość zawdzięcza ów świat współczesny w równej mierze rozwojowi sił wytwórczych i nauce, jak i nolens volens polityce. Dyskusja polityczna jest więc potrzebna w wielu dziedzinach nauki i praktyki, jak to dobitnie stwierdził Władysław Gomułka w przemówieniu końcowym na V Zjeździe Partii. W każdej dyskusji dotykającej wszelkiej praktyki i teorii naszego życia społecznego znajomość życia i założeń polityki socjalistycznej podnieść może na wyższy poziom odpowiedzialność, którą współczesne generacje ponoszą za przyszłość własnego kraju.

x
x x

Niektórzy, w tym niejednokrotnie młodzież studencka, zżymają się nieraz, że po-

lektoraaty...

Pytanie postawione w tytule niektórym zasugeruje znane powiedzenie: "Ten jest "dobrym" studentem, kto potrafi studiować na jednym wydziale kilkanaście lat". Nie chodzi mi o takich studentów.

Kto ma zajęcia po południu, ten częściej spotyka na korytarzu ludzi z takim samym jak on indeksem, tylko trochę starszych. I można wtedy minąć się właśnie ze studentem mającym 40-ści lat.

Zajęcia ich zaczynają się o godzinie 15-tej i trwają do 20-tej, a niekiedy i dłużej. Nigdy nie można spotkać tych studentów przed południem. Popołudnie i późna noc - to jedyna dostępna dla nich pora doby, by mogli się uczyć, uzyskać wyższe wykształcenie. Wiedzę swoją zdobywają kosztem różnych wyrzeczeń. Nie mają żadnej pomocy materialnej, jak akademicy czy stozówki. Są to studenci wieczorowi i zaoczeni. Im to właśnie i ich problemom chcę poświęcić ten artykuł.

Jako student studiów dziennych, żywię dla nich wielki szacunek. Podziwiam ich zapał do pogłębiania wiedzy, samozaparcie i wytrwałość w dążeniu do zdobycia dyplomu. Jest to tym trudniejsze zadanie, że czas swój muszą rozłożyć na pracę zawodową i naukę, a także dość często i rodzinę.

W naszej Uczelni studiuje około 3.200 studentów pracujących (co stanowi 33%) na 6-ciu wydziałach.

Po VI Kongresie Zrzeszenia Studentów Polskich powołano Komisję Studiów dla Pracujących (1965 r.). Podjęcie przez ZSP problematyki, o której mowa, stanowi wyraz troski organizacji o jak najpełniejsze zaspokojenie potrzeb kadrowych kraju.

Politechnika Wrocławska jest głównym ośrodkiem kształcącym wyższą kadre techniczną. Region dolnośląski potrzebuje tej kadry. Studenci pracujący jak i dzienni są równorzędnymi partnerami w zaspokajaniu tych potrzeb. I dlatego władze interesują się również studiami wieczorowymi i zaocznymi.

W uchwale V Zjazdu PZPR czytamy: "Szkoły Wyższe powinny wzmożć wysiłki w celu podniesienia sprawności nauczania, dostosować zadania w dziedzinie studiów zawodowych i magisterskich do przewidywanych potrzeb kadrowych i otoczyć większą opieką studia dla pracujących".

EFEKTYWNOŚĆ STUDIÓW

Wzrost efektywności studiów dla pracujących uzależniony jest w decydującej mierze od poprawy warunków dydaktyczno-organizacyjnych procesu kształcenia i zmian odpowiednich przepisów.

Pragnę nadmienić, że ta forma studiów w naszej Uczelni może pochwalić się większą sprawnością nauczania, niż na studiach dziennych. Wskazuje na to fakt, że w poprzednim roku akademickim ponad 40% dyplomów przypadło na studentów pracujących a nie - jakby to wynikało z porównania ilościowego obu form studiów - trzydziestu kilku.

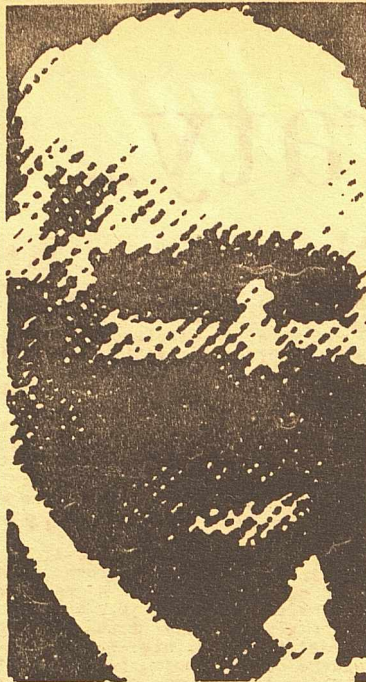
Program nauczania winien ulec zmianie tak, aby bazował na doświadczeniach zawodowych studenta. Ilość materiału typu historycznego trzeba ograniczyć do minimum, a program powiązać z potrzebami konkretnych zjednoczeń. Należałoby w ostatnich latach studiów uwzględnić w szczególności aktualne potrzeby zakładu pracy. Wyrazem tego winny być między innymi związane z potrzebami danego zakładu tematy prac przejściowych i dyplomowych. W celu umożliwienia konfrontacji posiadanych doświadczeń zawodowych i zdobytej wiedzy z najnowszymi osiągnięciami nauki i techniki należy umożliwić studentom odbywanie praktyk za granicą.

Generalnie biorąc - nie można powiełać tu programów obowiązujących na studiach dziennych. Każdy pracownik nauki prowadzący zajęcia na studiach dla pracujących powinien zdawać sobie sprawę z ich odmiennej specyfiki.

Ta forma studiów wymaga większego przygotowania się do prowadzenia zajęć, co uzasadnia potrzebę wypracowania odpowiednich zasad wynagradzania pracowników.

Efektywność studiów zależy przede wszystkim od studentów, od ich zapału do nauki, od czasu, jaki poświęcają nauce. Ci, którzy wybrali studia wieczorowe lub zaoczne, zdają sobie sprawę z trudności, na jakie mogą się natknąć. Celem ich jest jak najszybsze otrzymanie dyplomu.

Jednakże studentem można zostać po pomysłnym zdaniu egzaminów wstępnych. W bieżącym roku przygotowanie kandydatów nie było najlepsze. Znamienny był fakt, że niemalże 20% składających podania nie zgłosiło się na egzamin. Z tego można wyciągnąć wnioski, że celowe byłoby zorganizowanie kursów przygotowawczych przez Uczel-



czy można być 40- letnim studentem

Fot. A. Milli



nię, a samą rekrutację zostawić w gestii zakładu pracy, który powinien kierować na studia odpowiednie osoby.

Na wyniki studiów wpływają też w sposób istotny warunki socjalne. Pod tym względem nie jest najlepiej. Studenci pracujący nie mają możliwości korzystania na uczelni z tanich i ciepłych posiłków. Studentom zaocznym przyjeżdżającym na tzw. "zjazdy" przysiadłyby się miejsca noclegowe. Poprawę sytuacji można uzyskać poprzez wykorzystanie dziś istniejących rezerw oraz dodatkowe inwestycje.

ZAKŁAD PRACY

Wydawać by się mogło, że zakłady pracy kierując swoich pracowników na studia, są najbardziej zainteresowane w niesieniu pomocy swym studentom. Jednakże tego typu zakłady pracy policyjne można na palcach dłoni danego przedsiębiorstwa najważniejsze są wskaźniki produkcyjne i ekonomiczne. Nie ma wzniosłego celu dla przemysłu jak ten, by jak najszybciej i jak najlepiej zaspokajać potrzeby ludności. Można to uzyskać, jak wiadomo, przez osiągnięcie najlepszych wskaźników.

Patrząc na zakład pracy przez pryzmat interesów studentów pracujących zauważyłem, że duża część zakładów nie troszczy się o swoich studentów. Patrzy się na nich jako na tych, których wydajność pracy nie jest największa. Do wyjątków należą przypadki, że ktoś zauważył przysięże korzyści jakie zakładowi przyniesie pracownik z wyższym wykształceniem.

Dlatego uważam, że w zakładach pracy musi być wytworzony odpowiedni klimat dla studentów. Klimat ten - a nie przepis czy umowy - powinien sprzyjać powstaniu silnych więzów między studiującymi a macierzystym zakładem pracy co zmniejszy tym samym fluktuację kończących studia pracowników danego zakładu. Dlatego w każdym przedsiębiorstwie, w każdej fabryce należy stworzyć koła młodzieży studiującej czy nawet uczącej się. Takie koła byłyby również zainteresowane kontaktem ze studentami studiów dziennych i mogłyby pomóc, czy nawet zorganizować w ciekawy sposób, praktykę dla tych studentów.

INTEGRACJA OBU ŚRODOWISK STUDENCKICH

Kiedy zaczynałem działalność w ZSP, przeprowadziłem kilka rozmów z różnymi studentami. Gdy zadawałem pytanie: "Twoje wyobrażenie o studencie pracującym i jego problemach?", otrzymywałem najczęściej odpowiedź: "Jest to student w wieku lat 30-40, dla którego poza pracą, nauką i rodzinną sferą nie istnieje, który może mieć kłopoty ze zdobyciem podręczników, któremu zakład stawia jakieś trudności, a w zdobywaniu wiedzy przeszkadza mu rodzina". Niektórzy moi rozmówcy dodawali: "Najczę-

ściej są to ludzie, którzy musieli uciec się na studia, by móc uzyskać awans, lub których stanowisko w zakładzie pracy wymagało ukończenia wyższych studiów. Nie ma sensu nimi się zajmować.

Takie poglądy dominują wśród dużej części naszej akademickiej społeczności. Nikt nie bierze pod uwagę, że to są również studenci, tacy jak i studenci dzienni. Nikt nie spostrzegł, że są to młodzi ludzie. Przeciętna wieku na poszczególnych latach i wydziałach ma tendencję do obniżania się. Tak np. na latach pierwszych średnia wieku kształtuje się w granicach 22-24 lata.

Kontakt studentów pracujących i dziennych może i powinien odbywać się na wielu płaszczyznach. Studenci pracujący mogą podzielić się swoimi doświadczeniami zawodowymi, studenci dzienni - swoją wiedzą. Najlepszym miejscem, ale nie jedynym, jest zakład pracy. Można również na każdym wydziale organizować wspólne imprezy artystyczne i kulturalne. Należy spodziewać się wielu korzyści z tych kontaktów.

Trudno wymagać, by inicjatywa wyszła tylko od studentów pracujących.

Uważam zresztą, że istnieje już pewne przejawy tej współpracy, ale przeciwieństwo "pierwsze jaskółki nie czynią wiosny". Dużo tu jest do zrobienia, trzeba tylko dobrych chęci, a może nawet zmiany stosunku. Dlaczego więc niektórzy, uważający się za jedynych "godnych" (w niektórych wypadkach - godnych - trzeba powiedzieć z ironią lub ubolewaniem) miana - "student", patrzą niejako z wyższością na studentów pracujących? Dlaczego odmawia się pracującym zaszczytnego - bądź co bądź - miana STUDENTA?

MIKOŁAJ FIRLEJ

Skutterudyt i sprzężenie zwrótne

W ostatnim czasie zauważano pogłębiający się brak przystosowania wyższych studiów do wzrastających wymogów współczesnego świata. Niekiedy określa się to zjawisko, jako wyraźny kryzys szkolnictwa wyższego. U nas wprowadzono zasadnicze zmiany w strukturze Uczelni. Powstały Instytuty, zrywające zęstarzałe i ograniczające formy pracy Szkoły. Postawiono również na wydajne zwiększenie współpracy z przemysłem. Wiele się mówi o wychowaniu młodzieży. Jeśli jednak chodzi o program studiów - to słychać nie wiele. Jeżeli nie liczyć przedmiotu: Podstawy nauk politycznych, to prawie woale. Prawdą jest, że poszczególne lata mają zmienioną niekiedy kolejność przedmiotów i czasem zmieniają się nieznacznie liczby godzin na poszczególnych zajęciach. Wprowadza to ogólny zamęt i nie można zaliczyć tego do zmiany programu studiów, który niewątpliwie także się przeżył.

Dla wykazania, że obecny program nie jest idealny, posłuże się przykładami z zimowego semestru IV roku Wydziału Chemicznego. Z czasów, gdy chemia dopiero się rodziła, pozostał nam przedmiot: mineralogia. Można się dowiedzieć na niej, że np. piruluzyt należy do klasy krystalograficznej bipiramidy dytragonalnej, natomiast chromit do klasy czterdziestoosiowości; można też zastanowić się nad tym, czy kobaltyn występuje w utworach geologicznych hydrotermalnych, pneumatolitycznych, czy też pegmatytowych, a może li tylko kontaktowo-metasomatycznych. Z logicznego punktu widzenia potrzeba posiadania przez inżyniera chemika takich wiadomości jest co najmniej wątpliwa. Gdy weźmie się pod uwagę hasło współpracy z przemysłem, możemy dojść do dalej idących wniosków. Dotychczas tego rodzaju wiadomości były studentom niepotrzebne. Być może - w niedalekiej przyszłości studentom wychowywanym przez pracę np. w kamieniołomach i kopalniach, przydadzą się wiadomości typu: że azuryt ma dobrą kłupliwość według płaszczyzny $011/1$ a siłarsza według płaszczyzny $100/1$ i że jest kruchy, a skutterudyt ma przełom muszlowy i występuje w postaci zbitiej, skrytokrystalicznej, natomiast hausmanit tworzy bliźniaki.

W każdym wykładzie dowiadujemy się wielu niepotrzebnych rzeczy odnośnie do najmniej 20 minerałów. Oczywiście - tylko na wykładzie, bo jedyną rzeczą związaną z minerałami, którą można zobaczyć (nie specjalnie pokazywaną) jest kreda. Co tydzień na ćwiczeniach jest tzw. kartkówka. Należy w niej odpowiedzieć na pytanie dotyczące materiału przerobionego na ćwiczeniach; istnieje też możliwość pochwalenia się wykuciem szczegółowego opisu kilku zaproponowanych przez wykładowcę minerałów. Gdy ten popis wypadnie negatywnie, dostaje się niedostatecznie i można mieć nie zaliczone ćwiczenia. Jeśli zdarzy się przypadkowo (bardzo małe prawdopodobieństwo), że w przyszłej pracy będzie potrzebny opis jakiegoś minerału, to i tak koniecznym okaże się sięgnięcie do encyklopedii.

Ponieważ skończyłem technikum chemiczne, nie mogę oprzeć się porównaniu. W tychże technikach mineralogię zlikwidowano kilka lat temu. Przez 2 lata w technikum uczyłem się przedmiotu: aparatura kontrolno-pomiarowa w przemyśle chemicznym. Na studiach podobny przedmiot to: pomiary i automatyka. Sprowadza się on jednak do

automatyki i to w dużej części teoretycznej. Po narysowaniu prostokąca z wchodzącym "x" i wychodzącym "y" następuje rozbudowa zależności matematycznych między nimi, a na ćwiczeniach - rozwiązywanie tych równań. Oprócz tego przedmiotu nie ma, nie było i nie będzie żadnego innego, na którym można byłoby dowiedzieć się o przemysłowych rozwiązaniach aparatury kontrolno-pomiarowej. W ten sposób inżynier-chemik nie dowie się na studiach nic na temat nawet tak podstawowych rzeczy, jak analizatory spalin, czy choćby pirometry. Wiadomo zaś, jak postęp techniczny w tych dziedzinach jest duży. Student dowie się natomiast, że bornit ma ciężar właściwy $5,07 \text{ g/cm}^3$ i połysk metaliczny, a patronit ma barwę czarną, przechodzącą niekiedy w zielonoczną.

Zaprzagnięcie chemii, jako nauki teoretycznej, do pracy przemysłowej, spełniająca technologię. Wiadomo z praktyki od lat, że studenci kończący daną specjalizację bardzo często pracują na stanowiskach, na których zdobyte wiadomości ze swojej specjalności niewiele im się przydadzą. W związku z tym należałoby się spodziewać, że na wydziale rolę najważniejszego przedmiotu spełnia technologia chemiczna ogólna. Kto tak sądzi jest w głębokim błędzie. Przedmiot ten spychany jest do roli tzw. "Michałka". Dzieje się to na skutek małej liczby godzin wykładu i obustronnego małego zainteresowania. Wykłady prowadzone są nieciekawie, a przecież przy minimalnym zastosowaniu środków audiowizualnych mogłyby być prawie pasjonujące. Myślę, że zamiast opierać się tylko na klasykach, należałoby więcej mówić o technologiach rozwijających się i ważnych, a także pobieżnie omawiać technologie, których realizacja nie odbywa się w resorcie przemysłu chemicznego. Często też dużo czasu poświęca się technologiom, które powstały dawno, nie zdały egzaminu i nie są stosowane. Paradoxem niemal jest, że chemik nauczy się wartości ciśnienia przy wycieczeniu oleju z nasion, a nie dowie się nie tylko, jak produkuje się stylon, ale nawet - czym różni się anilana od elany.

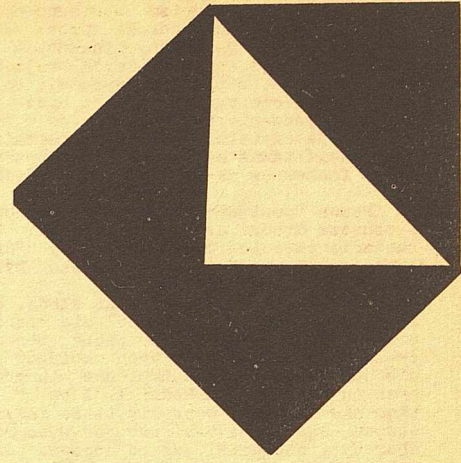
Można by tu wymienić jeszcze wiele przedmiotów, które dalekie są od doskonałości.

Przytoczone rozważania nie mają na celu nawet pobieżnej analizy, a jedynie sygnalizację zjawiska, tym więcej, że przykłady dotyczą tylko jednego semestru na jednym wydziale. Jeżeli przykłady nie stanowią wyjątków, to problem wymaga szybkiego sprowadzenia do właściwych proporcji.

PIOTR ŻAK

OD REDAKCJI:

Mimo, że nie we wszystkich sprawach zgadzamy się z autorem tego kontrowersyjnego listu, publikujemy go w całości z uwagi na ogólne znaczenie poruszanych w nim kwestii.



Mity i fakty

Do dzisiejszych refleksji skłoniły mnie recenzje Ernesta Dyczek, który sugeruje Czytelnikom wnioski, jakie wyciągnął po przeczytaniu powieści Dygata i Choromańskiego. Ernest Dyczek wrzuca do jednego garnka rozbiory, czterech pancernych i psa, partyzantkę i szlacheckie zwady, powstania i liberum veto.

Waż, Czytelniku, garnek, wiół do niego kawałek szynki, polej oliwą i miodem, dosyp soli i pieprzu i obiół bitą śmietaną ze skwarkami i kapustą, a zawartość garnka nazwij wyszukaną potrawą. Nieapetyczne? Nic dziwnego - wina zestawienia i właśnie przed takimi zestawieniami ostrzegają obaj autorzy powieści.

Co poleca Ernest Dyczek Polakom na obczyźnie? Przede wszystkim - wyrzec się cech polskości, bo cechy te grożą zwyrodnieniem. Jakaż to szkoda, że Mickiewicz nie żyje - chętnie posłuchałbym, co miałby na swoje usprawiedliwienie - przecież poddał się nostalgii do tego stopnia, że napisał "Pana Tadeusza"!

Ma rację recenzent, gdy odradza abstrakcyjne motywy działania, ale dlaczego sugeruje tożsamość cech marginesowych z polskością? Dlaczego używa powieści traktujących o wyobcowanych jednostkach do uogólnień mających na celu odebranie przymiotnikowi "polski" wszelkich wartości?

Ja nie będę polecał "prozy kreacyjnej o wyrafinowanej strukturze formalnej", lecz powołam się na zdrowy, chłopski rozum. A może ten zdrowy, chłopski rozum jest bezsensowny? Może z mitów wzięty jest zły ptak, który swoje gniazdo kala? Jeśli tak, to zwijcie mnie

MITOMAN

Bardzo źle, gdy ktoś po przeczytaniu omówienia książek, omówienia, które "skłoniło do refleksji", podejmuje dyskusję z autorem recenzji, nie przeczytawszy uprzednio przedmiotowych utworów.

Po pierwsze: nie niżej podpisany wrzuca "do jednego garnka" rozbiory, czterech pancernych, powstania itd., ale cytuję w brzmieniu dosłownym fragment "Karnawału" Stanisława Dygata (por. s. 38-39), i do autora "Jezióra Bodeńskiego" należałoby się zwrócić z ewentualnymi pretensjami.

Po drugie: niżej podpisany niczego "Polakom na obczyźnie nie poleca" - stara się natomiast wydobyc z treści utworów, to co Dygat i Choromański w swoich książkach o polskich emigrantach przekazują czytelnikowi w K r a j u !

Po trzecie: do omawiania wybieram dla "Sigmę" - w czym oczywiście mogą się mylić - książki wartościowe, interesujące tematycznie i nowatorskie - a czasami nawet dyskusyjne. Uważam bowiem, iż mimo, że "Mitomanowi" to się nie podoba, za swój obowiązek stałe podnoszenie autoświadomości literackiej czytelników, do których zawsze odnoszę się z pełnym szacunkiem dla ich poziomu intelektualnego. Tym samym uważam za godne polecenie "prozy kreacyjnej o wyrafinowanej strukturze formalnej", a nie upiowanie ich "zdroworozsądkowością" (co wcale nie znaczy, że nie doceniam zdrowego chłopskiego rozumu) wątpliwej jakości.

ERNEST DYCZEK

Ten kontrowersyjny temat wraca na łamy dzienników, magazynów, czasopism popularno-naukowych i innych wydawnictw z regularnością wprost zadziwiającą. Gdzie znaleźć przyczyny regularnych nawrotów problematyki pestycydów, dlaczego ludzie w różnych krajach wykazują jej tyle zainteresowania, a przy tym wyrażają to zainteresowanie w sposób tak przeciwstawny, to jest bądź zdecydowanie negatywny, bądź zdecydowanie pozytywny? Coś w tym tkwi skoro temat tak interesuje czytelników, skoro potrafi dzielić społeczeństwo na przeciwstawne sobie obozy. Ba, potrafi przeciwstawić sobie nawet fachowców na codzień zajmujących się tymi zagadnieniami.

Nazwa "pestycydy" pochodzi od słowa pest = plaga, zaraza i oznacza środki do ich zwalczania. W polskim słownictwie znacznie częściej używa się nazwy "środki ochrony roślin" i choć jest to pojęcie nieco węższe, bywa używane jako synonim pestycydów.

Ochrona roślin jest nauką młodą, biorącą swój początek w XIX w., gdy człowiek nauczył się rozróżniać choroby i szkodniki roślin, a w efekcie zaczął poszukiwać środków do ich zwalczania. Rezultatem tych zabiegów było znaczne zwiększenie jakości i wysokości plonów winogron, szczególnie podatnych na choroby i szkodniki. I to był początek, dlaczego bowiem nie można by ochronić także innych upraw czy drzew owocowych, skoro one tak samo jak winogrona atakowane są przez choroby i szkodniki, skoro hodowca ponosi z tego tytułu znaczne straty, a często w latach klęsk w ogóle tego plonu nie zbiera? Poszukiwano więc stale nowych środków, nowych ich zastosowań w ochronie roślin, mimo to jednak nie uzyskiwano re-

Tak znakomite rezultaty uzyskiwane przy stosowaniu DDT spowodowały gwałtowne poszukiwanie nowych pestycydów i już do roku 1950 opracowano szereg nowych preparatów o rewelacyjnych właściwościach. Do nich zaliczyć można fosforoorganiczne środki owadobójcze odkryte na bazie prac Schradera poszukującego nowych gazów bojowych dla niemieckiego Wehrmachtu, a także chlorowane insektycydy: lindan, toksafen, aldrin oraz nowe środki chwastobójcze, np. 2,4-D, który odegrał podobną rolę w walce z chwastami jak DDT w walce ze szkodnikami roślin. W bardzo krótkim czasie znacznie poszerzono asortyment pestycydów, a prawie wszystkie poważniejsze koncerny zachodnie zajęły się ich produkcją.

Wprowadzenie do praktyki tej nowej grupy pestycydów, będących syntetycznymi związkami organicznymi, stworzyło nowe perspektywy znacznego zwiększenia plonów, a przez to - skutecznej walki z głodem. By nie być gołosłownym - kilka liczb dla wyjaśnienia wagi problemu. Najnowsze opracowania szacują światowe straty produktów rolnych spowodowanych przez szkodniki i choroby roślin na kwotę 75 miliardów dolarów rocznie. Szacunek ten dotyczy różnicy pomiędzy średnimi zbiorami w warunkach niewystępowania chorób i szkodników oraz zbiorami faktycznie uzyskiwanymi. Roczne straty w plonach zbóż szacuje się na ponad 500 milionów ton, przedstawiających wartość 34 miliardów dolarów. Przy szacunku wartości światowych zbiorów na 140 miliardów dolarów straty wynoszą ok. 54 % plonów. W Polsce roczne straty w uprawach rolnych ocenia się na ok. 20 miliardów złotych. Jest to więc kwota niebagatelna, nakazująca konieczność objęcia ochroną całego arealu upraw rolnych. Uważa się przy tym, że zaniechanie w chwili obecnej stosowania chemicznych środków ochrony roślin spowodowałoby obniżenie plonu ważniejszych upraw o 30 - 50 %. W sadownictwie, uprawie winorośli, warzywnictwie oraz większości upraw polowych nie jest możliwe prowadzenie produkcji bez stosowania środków ochronnych. A przy tym wartość rocznej produkcji pestycydów na świecie ocenia się na 1 miliard dolarów.

Olbrymie korzyści ekonomiczne, jakie uzyskuje się przy stosowaniu pestycydów, stwarzają nadzieję, iż będzie możliwe zlikwidowanie głodu na świecie i wyżywienie stale wzrastającej liczby jego mieszkańców. Uzasadnia to w jakiejś mierze tytuł niniejszego artykułu i jest bodaj przyczyną optymizmu jaki niejednokrotnie przebiega z publikacji na ten temat. Skąd więc złośliwe zakończenie, skąd ten znak zapytania? Medal ma zwykle dwie strony; ten także.

Stosowanie pestycydów wywołuje uboczne skutki, nieoczekiwane przez człowieka. Jest to obszerne i niezwykle poważne zagadnienie, a tylko niektórym jego aspektom poświęćmy nieco uwagi.

Zastosowanie pestycydów wprowadza zaburzenia w równowagę biologiczną, powodując np. że szkodnik, który nie stanowił wcześniej problemu gospodarczego, nagle ten problem stanowi. I tak na przykład powszechne stosowanie chlorowanych insektycydów spowodowało wyniszczenie owadów będących naturalnymi wrogami roztoczy, konsekwencją czego stała się konieczność walki z roztoczami, które zaczęły wywoływać olbrzymie straty. Wymagało to opracowania nowych środków chemicznych łączących w sobie działanie owado- i roztoczobójcze. Podobny problem obserwuje się w walce z chwastami, gdzie zaobserwowano zjawisko tzw. kompensacji chwastów. Polega ono na tym, że pewna ilość chwastów bardziej odpornych na działanie zastosowanego herbicydu pozostaje niezniszczona, a nie znajdując antagonistów ma tak dobre warunki rozwoju, iż w efekcie uzyskany plon rośliny uprawnej może być niższy niż wówczas, gdy w ogóle nie niszczone chwastów. Innym ubocznym skutkiem stosowania pestycydów jest obserwowane od pewnego czasu zjawisko uodporniania się owadów.

Oba te zagadnienia stwarzają duże problemy specjalistom od ochrony roślin, w znacznie jednak mniejszy sposób bezpośrednio interesują szarego zjadacza chleba. Dla tej ostatniej, a przecież niezwykle szerokiej grupy, stanowiącej całą bez wyjątku ludność świata, ważniejszym jest kolejne zagadnienie, jakie chciałabym omówić. Jest nim zagadnienie pozostałości pestycydów i związane z nimi ryzyko dla spożywców produktów rolnych.

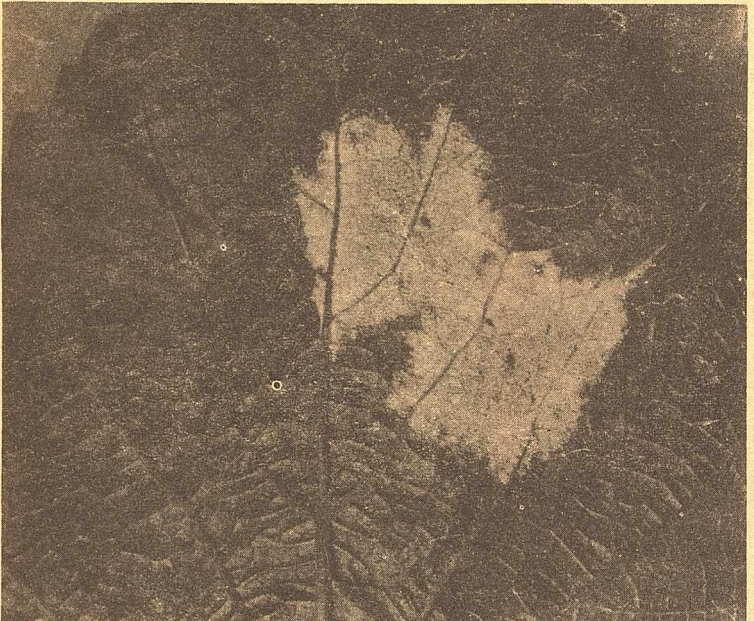
Pestycydy stanowią związki często silnie toksyczne dla człowieka; uwaga ta dotyczy szczególnie środków owadobójczych. Po zastosowaniu, np. do ochrony rośliny uprawnej, pestycyd ulega rozkładowi, jednak w chwili zbioru plonu rozkład ten może nie być zakończony całkowicie i w plonie mogą pozostać niewielkie ilości pestycydu lub toksycznych produktów jego rozkładu. W praktyce są to ilości śladowe poniżej 1 ppm (tj. 1 części na milion), niejednokrotnie poniżej 0,1 ppm, ale nawet tak znikome ilości mogą stanowić ryzyko dla ludzi i zwierząt, będąc źródłem zatrucia. O fatalnych skutkach, jakie przyniosło w USA nierozważne stosowanie pestycydów pisała już Rachel Carson w swej znanej książce "The Silent Spring" ("Milcząca wiosna"). Od tego czasu problem pozostałości i ryzyka, jakie niesie pestycydy, zajmuje często uwagę społeczeństwa i jest rozważany nie tylko w gronie fachowców.

Czy jest to słuszne? Niewątpliwie tak, choć ton niektórych artykułów nie jest właściwy, więcej w nich żądy sensacji niż rzeczywistej troski o człowieka. Dziś problemy określane "milczącą wiosną" należą do historii; naukowcy się poznają uboczne skutki stosowania pestycydów, a przez to im zapobiegają.

W chwili obecnej żaden nowy preparat nie zostanie dopuszczony do obrotu handlowego, dopóki wyniki obszernych badań nie zapewnią, iż jego użycie w praktyce nie stanowi groźby zatrucia. Badania te obejmują: ustalenie szybkości rozkładu substancji toksycznej w warunkach polowych, oznaczenie pozostałości preparatu w glebie i produktach spożycia, ustalenie toksyczności dla zwierząt, badania zmian narządów wewnętrznych zwierząt doświadczalnych karmionych określonymi dawkami pestycydu itd. itd. Są to badania wieloletnie, a przy tym bardzo kosztowne. Warto wspomnieć, że koszt wyprodukowania nowego preparatu ochrony roślin szacuje się na ok. 1 - 5 milionów dolarów, w czym największy udział mają badania toksykologiczne.

Na podstawie badań ustala się odpowiednie zalecenia dla użytkownika podając, na jakich uprawach, w jakich ilościach i w jakim okresie preparat może być użyty oraz jaki jest najkrótszy dopuszczalny okres pomiędzy ostatnim zabiegiem a zbiorem plonu (okres ten jest zwany okresem karencji). W zasadzie więc, jeśli dotrzyma się zaleceń, użycie preparatu nie stanowi ryzyka.

PESTYCYDY



nadzieja - czy... niebezpieczeństwo

welacyjnych wyników, skutkiem czego stosowanie pestycydów nie było tak powszechne jak dziś. Ten okres trwał do wybuchu II wojny światowej, kiedy ochrona roślin weszła na nowe nieznanne dotąd drogi, a koniec starego okresu i początek nowej ery wiąże się nierozdzielnie z nazwiskiem szwajcarskiego chemika Paula Muellera. Odkryty przez niego DDT przyniósł ludzkości olbrzymie korzyści, spowodował wręcz rewelacyjne zmiany w ochronie roślin, ludzi i zwierząt, a sam Mueller za swe odkrycie został uhonorowany nagrodą Nobla.

Interesujące jest przy tym, że DDT został odkryty w pewnym sensie przypadkowo, przypominając tym wiele innych odkryć o wielkim znaczeniu dla rozwoju cywilizacji. W końcu lat trzydziestych w laboratorium znanej szwajcarskiej firmy J.R. Geigy, pod kierunkiem P. Muellera prowadzono intensywne poszukiwania nowych środków do zwalczania mola ubraniowego. Jednym z badanych związków był 2,2-bis-(4-chlorofenyl)-1,1,1-tróchloroetan - znany dziś powszechnie jako DDT. Okazało się jednak, że DDT działa nie tylko na mola ubraniowego, ale znacznie lepiej działa jako truciźna kontaktowa na szereg innych owadów, m.in. muchy, komary, wszy itp. Dalsze badania biologiczne potwierdziły w pełni spostrzeżenie Muellera i DDT jeszcze w czasie wojny wszedł do produkcji przemysłowej, stając się produktem o dużym znaczeniu wojskowym.

Wiadomo powszechnie, jakie usługi oddał DDT armiom sojuszniczym, wydatnie pomagając w utrzymaniu higieny i zmniejszeniu zachorowalności wojska na choroby zakaźne. Jest rzeczą niewątpliwą, iż hołd złożony Muellerowi wynikał z uratowania milionów istnień ludzkich, jakie zawsze pochłaniała wojna, choć ludzie ci nie ginęli od kul.

Już starożytni...



AŻEBY TAK NA KAMIENNYCH TABLICACH...

Ażeby tak dać im kamienne tablice - niechby ryli w nich tępiącymi się, spiżowymi dętami te wszystkie swoje zarządzenia, broszurki, tabelki, zestawienia; więc to, co osacza tak młodego, jak i starszego pracownika nauki, pomiędzy dziewiątą rano a trzecią po południu, i nie tylko w tych godzinach, bo jeszcze wieczorem, kiedy po stołkowym obiedzie przychodzi wypocząć, położyć się na kupionym na raty tapczanie w podobnym do szafy spółdzielczym mieszkaniu, lub w wynajętym prywatnie (odnosi się to przeważnie do młodych) pokoju, gdzie wypożyczony z pracowni kawałek izolowanego kabla udaje sznur do wieszania bielizny, a rozpostarte pieluszki - żagle jachtu, którym tu przypłynął z jednego brzegu do drugiego, a którego nazwę już zapomniał, albo który nazywał się kiedyś, o ile pamięć nie zawodzi, miłością.

Nie tylko osacza a spędza z powiek sen, zanurza w stan nerwowego napięcia i biedny współtowarzysz, lub współtowarzyszka tej podróży na drugi brzeg, zaczyna pośadać, że chcesz przenieść się na inną łódź jeszcze bez pieluszkowych żagli; zaczyna ciebie truć rozrzucając odpryski trucizny na zewnątrz, tak, że i tobie dostaje się to, chociaż jesteś niewinny. A wszystko przez owe sterty rubryk, które każali ci wypełnić, przez te kilometry wykropkowanych miejsc, które przecież musisz zapisać w pocie czoła z napięciem do ostatnich granic uwagi, gdyż pomyłka drogo kosztuje, nazbyt drogo, jak na twoje bardzo

często skromne możliwości, i na twój standard czasu, wytrzymałości i jeszcze czegoś, czego z kolei nie wiesz, za to oni wiedzą, o czym znowu ty wiesz, ale to właśnie zmusza ciebie do wykonania tej monstrualnej pracy.

I gdy zostana wypełnione te wszystkie rubryczki, kolumnienki, wykropkowane miejsca, przyjdzie ktoś i zabierze te wszystkie papiery (bo oni, niestety, drukują to wszystko na papierze), zanieś do pancernej szafy, albo do piwnicy, żeby tam w ciemności porosiło kurzem, albo żeby ci bezprzydatni lokatorzy piwnic, szczury, oprócz smaku papieru mogły odczuć również smak atramentu, długopisu, czasem kopiego ołówka.

Ażeby tak odebrać im papier i powiedzieć: "Mamy więcej kamienia niż drzew, mamy bardzo dużo kamienia, nie przeskaczamy wam, róboie, co chcecie robić" - to im powiedzieć i pokazać skały, a także pokazać ginące lasy. Można by im jeszcze powiedzieć: "Papier - to nietrwały materiał, papier może się spalić, zbutwieć, wreszcie papier może zjeść nawet głupia koza, a niech no spóbuje kamień?..."

Ażeby tak pozostawić ich sam na sam z kamieniem - niech wykują to, co chcą; żeby... ale to jest tak niemożliwe, jak niemożliwe jest zatrzymanie czasu, odwrócenie biegu strumienia, czy zamiana dnia na noc. Bo oni służą wielkiej bogini, bo oni przez to wymyślają rubryczek, kolumnienek, miejsc wykropkowanych budują świątynię bogini zwanej: B i u r o k r a c j a. Wspaniałe to i potężne bóstwo - czciliśmy ją i za moich czasów, choć Amon-

ta, Ozyrys, Izda nawet Bysio Apis byli potężniejsi, więcej mieli u nas czci, ale znalazła się przecież cząstka i dla Biurokracji. Układaliśmy dla niej hymny, modlitwy, nawet taką jedną pamiętam; posłuchajcie:

O ty, której cząstka jest w nas wszystkich
O ty, panująca w cieniu faraonów
O ty, patronko pisarzy rachmistrzów
jaśniejsza

niż gwiazdy

biurokracja
Dla ciebie wydajemy edykty
Dla ciebie wydajemy glejty
jaśniejsza

niż księzy

biurokracja
jesteś potężna w całości
Jesteś w nas rozdrobniona
Jesteś, jesteś, jesteś.

Mysły tak jak oczili, chociaż nie była wcale naczelnym bóstwem. Ale to był czas dawny, to był kamienych tablic czas, a teraz oni mają papier, teraz oni mogą więcej dla nie zrobić i robią i będą robić, póki im nie odbierzemy papieru podając w zamian kamienne płaszczyny i wtykając w ręce zamiast długopisu - dęto. Dopóki oni mają papier, będą wypisywać na nim hymny ku jej czci. I choć jestem z innej daty, i ich język nie jest moim językiem, to posłuchałem jednego z nich, posłuchajcie:

Naukowcu, będziesz przypisany
Naukowcu, będziesz podzielony
Na szereg rubryk tych:

Tu Imię i nazwisko
Tam zawód twój

A dalej czy masz ślubne dziecko
Pochodzenie rok kierunek wydział
Hola

stój!
Wpierw ilość publikacji wpis
I prac społecznych trochę
A potem powiesz nam,
Czy student jest twój brat
Czy swat

Czy wróg
Wypełnił wszystko akurat
Jak żąda tego z gracją
Bogini zwana BIUROKRACJĄ.

Ładne, co? Ładne, ale uciążliwe, uciążliwe - powiecie, i powiecie, że na to nie ma rady. A ja wam powiem: Ażeby tak na kamiennych tablicach...

TUTMOZIS

Badania nad pozostałościami pestycydów prowadzone są stale na całym świecie i jeśli wykazują one taką potrzebę, nowelizuje się przepisy, wprowadza nowe zalecenia dla użytkownika lub też w ogóle wycofuje preparat z użycia. Taki los - także i w Polsce - spotkał szereg preparatów, które zostały uznane za zbyt niebezpieczne dla ludzi i zwierząt. O tym, że praktyka ta daje dobre wyniki, świadczy przykład Anglii, gdzie DDT jest nadal podstawowym insektycydem, a mimo to w zmianie zaleceń jego stosowania zawartość DDT w tkance tłuszczowej człowieka spadła do 4 - 5 ppm, gdy uprzednio notowano 12 - 13 ppm.

Zagadnienie toksyczności pestycydów dla człowieka stanowi nadal centrum uwagi ośrodków badawczych i służby sanitarnej. Poszukuje się stale nowych preparatów o silnej toksyczności dla szkodników a słabej toksyczności dla człowieka i zwierząt, nowych bezpiecznych metod walki wprowadzając środki wabiące szkodniki, sterylizatory płciowe, hormony a także biologiczne sposoby zwalczania szkodników. Jest to jednak perspektywa, być może, niezbyt odległa.

I choć pestycydy stanowią dla człowieka potencjalne niebezpieczeństwo, nie wydaje się, aby mogło ono potwierdzać zakończenie tytułu. Nikt przecież nie może podjąć dziś decyzji o zakazie stosowania chemicznych środków ochrony roślin, tak jak nie można by dziś wycofać z użycia leków, które przecież także są truciznami. Broimy się więc przed ubocznym działaniem pestycydów a przede wszystkim - stosujemy je rozsądnie i tylko tam, gdzie są one rzeczywiście potrzebne.

Pomyślił ktoś - wszystko to piękne, duże światowe problemy, a jak sprawa wygląda na naszym podwórku, w kraju? Myślę, że warto i temu poświęcić nieco uwagi. Polski przemysł środków ochrony roślin powstał - praktycznie rzecz biorąc - dopiero w latach 60-tych. Wprawdzie jeszcze przed rokiem 1960 produkowaliśmy pestycydy, ale ich asortyment był bardzo wąski, a głównym produktem był DDT, ten z pestycydów, który budzi dziś tyle sprzeciwów i zastrzeżeń. Rok 1960 można uznać za przełomową datę w historii tego przemysłu, który wprawdzie nie pokrywa jeszcze w pełni zapotrzebowania krajowego rolnictwa na pestycydy, ale który zamierza spełnić to zadanie już w latach 1970-75. Dziś buduje się szereg instalacji produkcyjnych, opartych na polskich opracowaniach, współpraca z krajami RWPG pozwala nam skutecznie eliminować import z krajów kapitalistycznych, choć nadal jest on wysoki i kosztuje nas corocznie wiele milionów dolarów. Rozbudowuje się stale zaplecze badawcze dla przemysłu pestycydów, choć jego rozwój nie nadąża za potrzebami i nadal nie może podołać zadaniom, jakie należałoby rozwiązać jak najszybciej. A szkoda, bo prze-

mysi pestycydów ma wielkie szanse - podobnie jak przemysł farmaceutyczny - dostarczać gospodarce sporo dewiz, zamiast je zużywać.

Uczelnia nasza bierze również udział w budowie przemysłu pestycydów i jego zaplecza badawczego, uczestnicząc - choć w zbyt skromnym dotąd wymiarze - w badaniach nad syntezą środków chwastobójczych, badaniach objętych Narodowym Planem Gospodarczym. Ten kierunek badań nie jest przypadkowy; Wrocław stanowi silny ośrodek badań nad herbicydami, a poza Politechniką prace w tym zakresie prowadzi także WSR i Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa.

W ostatnich latach znacznie wzrosła liczba pracowników badawczych zajmujących się problematyką pestycydów. Wiele uwagi poświęca się nie tylko syntezie pestycydów, ale także ich prawidłowemu stosowaniu, ochronie ludzi i zwierząt przed zatruciami itd. Dla koordynacji tych prac, leżących na styku wielu dyscyplin naukowych, powołano działający przy Komitecie Nauki i Techniki Zespół Integracji Metod Ochrony Roślin, w którym reprezentowana jest również nasza Uczelnia. Zespół ten podjął szereg inicjatyw; warto tu choćby wymienić zorganizowane w 1968 r. w Poznaniu sympozjum nt. toksykologii pestycydów, o którym pisała m.in. "Sigma". Przeprowadzono prace nad dopuszczalnymi pozostałościami niektórych pestycydów, ustalono okresy karencji dla szeregu preparatów. Podjęto badania nad pozostałościami pestycydów w glebie i produktach spożycia; jedno z trzech laboratoriów badania pozostałości zostało zorganizowane we wrocławskim IUNG-u przy współpracy i współudziale Uczelni. Wszystko to niewątpliwie cieszy, choć jest to nadal zbyt mało w stosunku do potrzeb.

Służba rolna w dalszym ciągu cierpi na brak fachowców z dziedziny ochrony roślin, których szkoli się w nie wystarczającej ilości, by mogli zabezpieczyć prawidłowe stosowanie pestycydów w terenie. Szkoda, że potrzeba ich szkolenia nie zawsze znajduje zrozumienie tam, gdzie powinna. A przecież właśnie ci ludzie mogliby skutecznie bronić nas wszystkich przed ubocznymi skutkami pestycydów, na które - trzeba się zgodzić - jeszcze zbyt często jesteśmy narażeni. Warto wreszcie uznać za abstrakcyjny - znany dość szeroko - dowcip:

Inspektor sanitarny mijając plantację truskawek, wabiącą oko pięknymi barwami dojrzewających już owoców, ze zdumieniem spostrzega plantatora obsypującego obficie grządki środkiem owadobójczym. Przerazony woła: "Człowieku, jak możesz obsypać środkiem owadobójczym truskawki, które za 3 dni będą do jedzenia". "To nie do jedzenia, panie - odpowiada plantator - to na sprzedaż".

Wrocław, 5.I.1969 r.

Do
Zespołu Redakcyjnego
Magazynu Problemowo-Informacyjnego
Politechniki Wrocławskiej
"SIGMA"

Nie wytrzymałem! Zachwycając się nad każdym nowym wydaniem "SIGMY" - szukałem niezmiernie ale bez skutku choćby niewielkiej wzmianki - rubryczki, poświęconej tym, co stanowią bądź co bądź - 30 % ogółu studiujących na Politechnice Wrocławskiej czyli "wieczorniakom". Myślę, że to tylko "przypadkowe" przeoczenie, a sam powtarzam sobie w pamięci (jak starożytni) - contra spem spero ... "Przeciwko nadziei wierzę... Wierzę, że to się zmieni!

W załączeniu do tegoż listu obok najlepszych życzeń, ewentualną próbę nawiązania dialogu, ośmielam się przesłać.

MACIEJ KUŹMA
(III r.WSI Chemia)

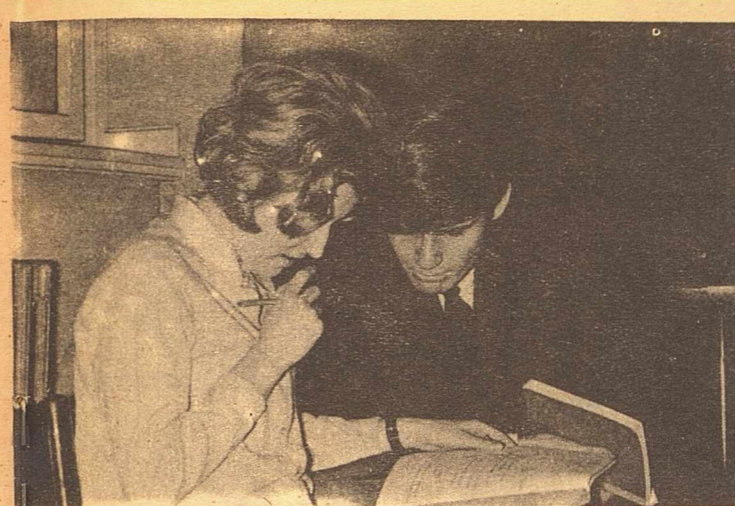
P.S. Będę niezmiernie wdzięczny nawet za lapidarną wzmiankę. Nawet typu ... "dajcie sobie kolego spokój ... lub coś w tym rodzaju.

sesja



fot.J.Chwiszczuk

Na giełdzie - poruszenie



Ostatnie spojrzenie w zeszyt...



Ojcowie też,niestety,muszą wkuwać...



Wiktor,pokaż tę piątkę!

niedokończona

rozmowa

Oblałem. Mówiąc poprawnie - nie uzyskałem zaliczenia. Stałem przed gmachem Politechniki z indeksem w rękę, gdy ktoś zawołał:

- Cześć stary! Co ty tu robisz? Co? Studiujesz?...Masz zupełnie podobny INDEKS! O! Cholera, zapomniałem ...tak, tak mówiłeś już ... No i jak?...

- Eee! no wiesz, u niego też zdawałem, ja mam już z głowy! Stary, nie masz pojęcia, co to była za sesja ...ale przeciętna 4,2 - ma się te sposoby. Patrz ... - zafurczał kartkami swojego indeksu - czuję, że starzy mi odpalą parę dobrych zet! Chcę prysnąć w góry na parę dni, trza wypocząć, no nie! No, nic, pogadamy, jak przyjadę...

Odchodząc zawołał jeszcze:
- Nie przejmuj się, on tych z wieczorówki zawsze w końcu puszcza.

Dopiero po chwili zorientowałem się, że to jest Tadek; razem kiedyś zdawaliśmy maturę... Stałem jeszcze przez chwilę utrwalając w pamięci, nie wiem dlaczego, "podobieństwo" naszych indeksów. Indeksów tych z "wieczorowych" i tych z "dziennych". Niewątpliwie - to są podobne indeksy, w całej Polsce są takie same. Poza pieczątką "STUDIUM WIECZOROWE" zawierają w sobie to samo. W każdym przecież można zobaczyć lakoniczne stwierdzenie, jakże typowe: zal... lub nie zal... może tylko w tych z "wieczorówki", mniej staranne - pewnie ktoś wpisywał po szesnastu godzinach pracy, albo sali nie ogrzano i ręce nie pracowały już tak sprawnie - za to mózgi musiały!

Ale czy istnieją tylko te, zresztą nieistotne, różnice? Czy są może jeszcze inne? Nie! Innych nie ma! Nie ma dlatego, bo są niewidoczne. Nie ma takich rubryk, które uwzględniłyby "inne różnice". Bo ktoś wpisze pod hasłem: Zaliczenie, Egzamin, Data: ilość niezaliczonych obiadów, lub niedost. - z obowiązków rodzinnych (to ostatnie skwapliwie napisałaby żona, czy teściowa mając możliwości). Na pewno też nie znajdzie się taki asystent, który wpisząby: "dość dobrze" za "bieg na przełaj" - przez różnych szefów, po wypchanych tramwajach o 15-tej, i budynkach Politechniki, gdy sale wykładowe "nagle się zmieniają". Nie! Tego wszystkiego nie znajdziesz! Ale jeśli chcesz poszukać ... to nic prostszego, jak wychodząc po zajęciach przyjrzeć się tym, którzy wtedy wchodzą. Przyjrzyj się ich twarzom; wówczas znajdziesz to wszystko, czego w indeksy nie wpisano...

Chciałem Tadekowi dokończyć... nie zdążyłem. Był już daleko.

MACIEJ KUŹMA

Jacques Leclerc

BY WAM BYŁO WYGODNIE

krytykujcie moją gwałtowność
i moje badwoce spojrzenie
ale czy wiecie co mną rzuca
wasza wścibska lekkość
wasza ważna grzeczność
ten skryty smak przyzwoitości
zostawcie mi moją wyższość
tam gdzie wasza miara mnie znudzi
rzucę w was słowa jak rozżarzone węgle
nie wchodzę w wasze wątle szmery
łamię waszą bezpłciową małostkowość
obwieszczęm wasz upadek oszczędzając przyszłość

nie boję się odejścia
i jeśli was potrącam przechodząc
nie przepraszajcie mnie z miłym uśmiechem
jestem brutal i żądak
i tylko wam pobliżam
ale czy wiecie co mną rzuca
ten wiersz gryzący jak pieprz moje gardło
ciągnę obelga waszej światowości
i nie żałujcie moich ran
one przechodzą do was
do waszego spokoju
bijcie się a ja będę zdrów
bijcie się jestem waszym uczniem
bijcie się będziemy wszyscy braćmi
gorliwi i silni i śmiały
bijcie się

KIEDY?

człowiek ujarzmiający kamień i metal
człowiek przewidywał zasianego ziarna
koni które się zaprzęga
wielkich skrzydeł
pałaców i armii
karozowisk
dokument Aten także dla instytucji
ręka za rękę
deklarować utopię
filtrować realność
zostać zdobywcą kij uderza w źródło
.....
stawy ludzi ciągle wytryskające
mistrzowie siebie i mówiący mocnym głosem
zasalutujcie koniec niewolników

tłum. Bolesław Nowicki

HANS BALDUNG GRIEN:

MŁODA DZIEWCZYNA I ŚMIERĆ

śmierci nie schwylicz mnie swymi gnijącymi łapami
nie przykujesz mnie swoimi nagim członkiem
śmierci zerwałam koszulę
i spójrz ty mnie nie dotykasz

nie myl się dziewczyno
twoje lśniące ciało jest teraz moim ciałem
twoje prężne piersi są moją jedyną hardością
rozmawiasz tylko z moją ciszą

tłum. Bolesław Nowicki



Jacques Leclerc: Wiersze



LISTY DO REDAKCJI

Zapraszamy Kolegium Redakcyjne do odwiedzenia nas w sali 306 NOT przy ul. Świerczewskiego. Pod sufitem wi- si jedna żarówka o sile światła wzmocnionej łójówki, zalewając uroczym żół- tym blaskiem brudne ściany, podrapaną tab- licę, także stoły i stołki. Można nas tu dojrzeć (z trudem), jak zubożnie ślipając podnosimy swe kwalifikacje i czujemy (ki- wając się) nad sprawnością nauczania ...

R.K. H.J. (Gornictwo)

REDAKCJA:

Kolegium w chwilach wolnych od zajęć redakcyjnych bywa także studentami i pracownikami, w tym także bywa w sali 306, a nawet w 311 czy 205 (piętro niżej) i w innych. Sądzymy, że opis Wasz, aczkolwiek nie pozbawiony walorów literackich, jest przesadnie pesymistycz- ny; nie zauważyliście na przykład klamek u drzwi, wykonanych z drogiego, deficyto- wego mosiądzu, jakich nie mają nawet elek- tronicy w swym ultra nowoczesnym gmachu. Zwróćcie także uwagę na marmurowe kolumny w Waszym gmachu.

Widzę, jak do biurka Kierownictwa Klu- bu podchodzi nieśmiało zgięta w pół młoda kobieta w stopniu mgr inż. i po chwili wraca z kolorową okładką pod pachą...

...Zdarza się, że czasopisma są niedo- stępne przez pół dnia po ukazaniu się w kioskach, lub zjawiają się po kilku dniach, czasem wcale (np. "Problemy").

...Można by tu wysnuć absurdalne chyba przypuszczenie, że prasa podlega jakiejś dodatkowej cenzurze...

I.S.

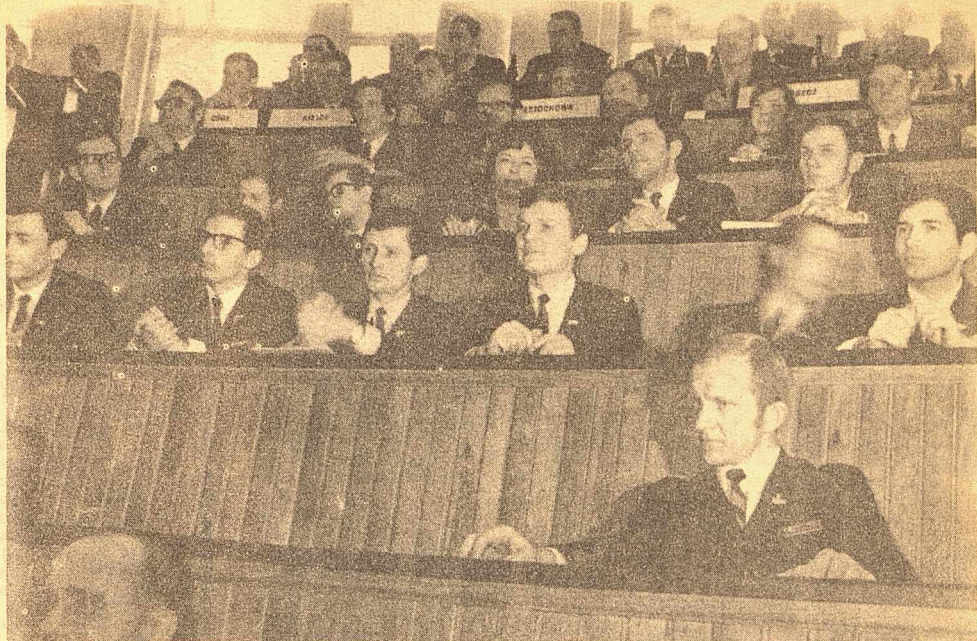
P.S. Czy Politechnika prenumeruje tak- że "Burdę"? Wtajemniczeni twierdzą, że tak, ale nie należą oni chyba do tego naj- ściślejzego grona, gdyż nie udało się im nigdy zobaczyć dołączanych do każdego nu- meru "Burdy" wykrojów.

REDAKCJA:

Chcieliśmy jasno i pryncypialnie roz- dzielić zagadnienia: 1^o Kwestiono- wanie potrzeby kontroli ozytywanych przez PT pracowników Politechniki a szczególnie naukowców czasopism, wobec o- gólnie znanej mizernej dojrzałości tego środowiska, nie może być uznane za słusz- ne.

2^o Inna sprawa, że sama cenzura powin- na przebiegać zdecydowanie szybciej. Aby- można było takową wykonać w szczytach ob- ciążenia dopływem tygodników np. w sobotę i to do godz. 10⁰⁰ (otwarcie klubu), nie- zbędne wydaje się radykalne rozwiązanie personalne - ozy to w postaci dodatkowych etatów lub też prac zleconych, wreszcie od- delegowania raz ozy dwa razy w tygodniu grupy odpowiedzialnych pracowników do po- mocy Kierownictwu Klubu.

Ważność tego postulatu ocenić trzeba jako znaczącą, zważywszy, że niektórzy niecierpliwi pracownicy zaopatrują się (jest to godne ubelwania) pokątnie w nie kontrolowaną prasę w kiosku RUCHU.



VII KONGRES
ZRZESZENIA STUDENTÓW POLSKICH
Warszawa 10-12.II.1969r.

VII KONGRES ZSP

W dniach 10-12 lutego br obradował w Warszawie, w gościnnym gmachu Szko- ły Głównej Planowania i Statystyki, VII Kongres Zrzeszenia Studentów Pol- skich. Miejsce Kongresu w życiu społecz- nym kraju, a przede wszystkim naszym, stu- denckim, określił Józef Tejchma, członek Biura Politycznego KC i sekretarza KC PZPR "/.../ I wróćmy teraz do spraw, którymi zaj- mie się Wasz Kongres. Wszystkie dadzą się sprowadzić do wspólnej zasady - do potre- by zdobycia orientacji i rozeznania w tych wszystkich nadrzędnych, wielkich sprawach ustrojowo - społecznych, ideowo - polity- cznych, narodowych i międzynarodowych, które określają warunki naszego życia zbio- rowego i indywidualnego. Zdobycie tej świad- omości - obojętnie jakimi drogami - to- główna treść tego, co jest wychowaniem i- deowym, społecznym, patriotycznym, inter- nacjonalistycznym".

Sprawy te nazywano różnie: samorządno- ść, nauka, wychowanie przez pracę, lecz łączył je ten jeden wspólny mianownik. Poruszało je blisko pół setki mówców na se- sji plenarnej; były przedmiotem obrad ko- misji roboczych.

Obradom przysłuchiwali się przedstawi- ciele najwyższych władz partyjnych i pa- ństwowych, wśród nich członkowie Biura Po- litycznego KC PZPR: Ignacy Loga-Sowiński, Józef Tejchma, Minister Oświaty i Szkol- nictwa Wyższego, prof. Henryk Jabłoński. W swym wystąpieniu Józef Tejchma poinfor- mował delegatów o decyzjach władz partyj- nych, dotyczących stypendiów, a przede wzy- stkim podkreślił starania kierownictwa za- równo partyjnego jak też państwowego, ma- jące na celu zwiększenie potencjału gos- podarczego naszego kraju. "/.../ Nakłady na badania naukowe rosną, z 0,9% dochodu narodowego w 1960 roku do ok. 2% dochodu narodowego w roku 1970. Po roku 1970 na- kłady na badania naukowe i rozwój wzras- tac będą nadal szybko. /.../ Rozwijac- dzieśmy nadal oświatę, w szczególności szkol- nictwo wyższe. Wydatki z budżetu państwa na ten cel w latach 1960-69 wzrosły niemal dwukrotnie. Wydatki na szkolnictwo wyższe wzrosną z 2,5 mld zł w 1960 r. do blisko 6 mld zł w 1969 roku".

W sesji zabierali również głos zapro- szeni przedstawiciele bratnich organizac- ji: Komsomołu, PZJ, Związku Studentów Cech i Mław.

Środowisko wrocławskie reprezentował ko- lega Wojciech Witkiewicz, wiceprzewodni- czący Rady Okręgowej, który swe wystąpie- nie poświęcił problemowi zaniedbań inwes- tycyjnych uczelni wrocławskich oraz zaga- dzeniu samorządności w domach studenckich. Kongres udzielił absolutorium ustępują- cemu Komitetowi Wykonawczemu Rady Naczel- nej a jego członkom, zwłaszcza Jerzemu Ha- tkowskiemu, przewodniczącemu Rady Naczel- nej, delegacji zgotowali serdeczną, nie mil- knącą owację.

Kongres dokonał wyboru nowych władz Zrzeszenia: Rady Naczelnej, w skład której weszli delegaci Politechniki Wrocławskiej - Ludwik Bukowski, Ryszard Waśniowski, Ma- ciej Kosiński, Naczelnego Sądu Koleżeń- kiego; w jego skład wszedł były przewod- niczący Rady Uczelnianej ZSP naszej Ucze- lni, Lechosław Błach oraz Głównej Komisji Rewizyjnej. Dokonano wyboru Komitetu Wy- konawczego RN ZSP. Przewodniczącym RN zo- stał Stanisław Ciosek, dotychczasowy wi- cepro przewodniczący RN i przewodniczący Ko- misji Propagandy i Informacji. Środowisko wrocławskie reprezentowane jest w Komite- cie wykonawczym przez Pawła Chochołaka, który został wybrany członkiem KW RN do spraw studenckiej spółdzielczości.

Podjęto również uchwałę, wytycającą kierunki dalszej pracy Zrzeszenia i wpro- wadzone poprawki do Statutu ZSP.

VII Kongres ZSP wystosował list do I Sekretarza KC PZPR, Władysława Gomułki, w którego zakończeniu czytamy: "/.../ Rozwijając społeczną i polityczną aktywność w szeregach powszechnej organi- zacji studentów ZSP - rzetelną nauką i za- angażowaniem ideowym będziemy służyć soc- jalistycznej Ojczyźnie".

IERZY MAGER

W czasie niespełna czteroletniego pobytu w naszej Uczelni zdążyliśmy zauważyć, że Politechnika się rozbudowuje. Nowe gmachy otrzymały Wydziały: Mechaniczny i Elektryczny.

Architektura zajmowała niecałe drugie piętro Gmachu Głównego. Było tam kilka sal projektowych, zaopatrzonych w stoły o bardzo twarde, co prawda, blatach, ale przy najmniej odpowiednim formacie. Istniały więc warunki do odbywania ćwiczeń projektowych - było na czym rozwinąć kalki w celu uzyskania korekty.

W ciągu kilku ostatnich lat chodziły słuchy wśród studentów, że Wydział Architektury zostanie przeniesiony. Jedni mówili, że do zamku w Oleśnicy, inni - bardziej kompetentni - że do starego gmachu na ul. Prusa, który w spadku otrzymamy od Wydziału Elektryczny. Nie wszystkim się ta druga wersja podobała, ale trudności lokalowe zmusiły nawet tych najbardziej opornych do akceptacji. Znajdujące się w szczególnie trudnych warunkach Zakłady: Rysunku i Malarstwa oraz Urbanistyki - liczyły na ich polepszenie w "nowym" gmachu. I rzeczywiście. Zakład Rysunku i Malarstwa otrzymał aulę na salę rysunkową, która wymiarami - nie tylko wymiarami - przewyższa znacznie walory dawnej. Zapewniono również lepsze pomieszczenia dla pracowników Zakładu.

Zawodu doznał jednak Zakład Urbanistyki. Pomieszczenia samego zakładu są wprawdzie większe, ale dwie salki, które w możliwy sposób przystosowane do zajęć projektowych są zbyt małe dla rzeczywistej ilości studentów.

I tak dla przykładu - ćwiczenia projektowe z urbanistyki studenci III roku są zmuszeni odbywać w sali nr 29, wyposażonej w stare ławki, nadające się może do notowania na wykładach, ale w żadnym wypadku do jakiegokolwiek rysowania, projektowania. Pracownicy naukowcy zakładu wpadli więc na pomysł, aby ćwiczenia z urbanistyki odbywały się systemem oddań. Na jednych ćwiczeniach studentom wydawano tematy np. "Zaprojektować jednostkę mieszkalną na 1500 mieszkańców", na następnych - studenta obowiązkiem jest projekt jednostki oddać. Siedzi więc w domu i projektuje - w oparciu o wykłady, książki, czasem pod "fachowym" okiem starszego o rok kolegi, niszcząc masę kalki, która jest na wagę złota i kosztuje go sporo pieniędzy, a tych on sam nie ma nigdy za dużo. Sposób ten może nawet nie jest zły - student pracuje niemal samodzielnie, uczy się korzystać z wykładów, dostępnych mu publikacji. Jest jednak pewne "ale"... Są wprawdzie wyznaczone godziny konsultacji, z których w większości studenci nie korzystają, gdyż w tych samych godzinach mają zajęcia obowiązkowe innego typu.

Praktycznie więc - doświadczenia projektowe - które posiadają pracownicy naukowcy, wykorzystywane są tylko do oceniania oddanych, z reguły słabych projektów studenckich. Podzielenie się doświadczeniami z dziedziny projektowania założeń urbanistycznych jest tutaj raczej rzadkością. Okoliczności więc zmusiły do tego, że sposób ćwiczeń z urbanistyki przypomina nieco studia zaoczne, a chyba nie o to chodzi.

Wcale nie lepsze warunki istnieją w chwili obecnej w Gmachu Głównym Politechniki. Sale, w których mieliśmy zajęcia projektowe, podzielono, a na domiar złego wstawiono ławki w miejsce stołów. A więc znów nie mamy co robić na ćwiczeniach projektowych, które są prawdopodobnie po to, by student mógł pracować w S A L I przy asystencji. Jedną z nielicznych już sal - nr 314, gdzie odbywają się zajęcia projektowe, jest tak zimna, że na ćwiczeniach trzeba siedzieć w płaszczech. Ci, którym projektowanie, rysowanie nie jest obce, orientują się, że najlepiej robi się to z rękawami zawiniętymi do łokci i płaszcze stanowi wyraźną przeszkodę.

Zdążyliśmy zauważyć, że Wydział Architektury kosztuje Politechnikę najmniej. Nie potrzeba nam nowoczesnej, kosztownej aparatury, w którą zaopatrywane są inne wydziały, przybory typu: stoły kreślarskie, przykładowe, skalówki, kalka brystol, farby, tusz, ołówki - kupujemy sobie sami z własnego studenckiego funduszu.

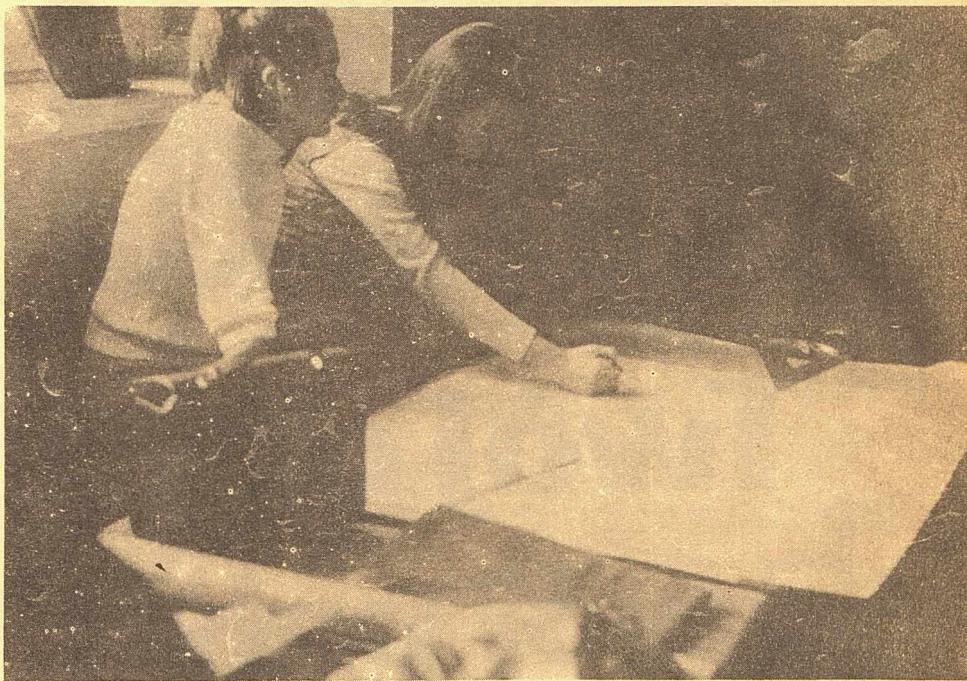
Potrafililiśmy zagospodarować się w akademikach; oprócz łóżek, szaf i minimum potrzebnego miejsca nie dostaliśmy nic. Stoły kreślarskie itp. podstawowe przyrządy mamy własne, podczas gdy np. kreślarnia akademicka w T-3 jest wyposażona w kulmany, choć śmiem wątpić w większą potrzebę użytkowania tychże przez studentów Wydziału Elektrycznego.

Może więc - chcąc stworzyć sobie lepsze warunki, powinniśmy kupić sobie jeszcze dodatkowe stoły kreślarskie i ustawić je w salach na Uczelni? Nas chyba byłoby na to stać - zajmujemy w akademikach najmniej miejsca, bo jesteśmy "najlepiej sytuowani".

SZCZAKI

Bogaci architektki

- z własnego podwórka



fot.A.Milli

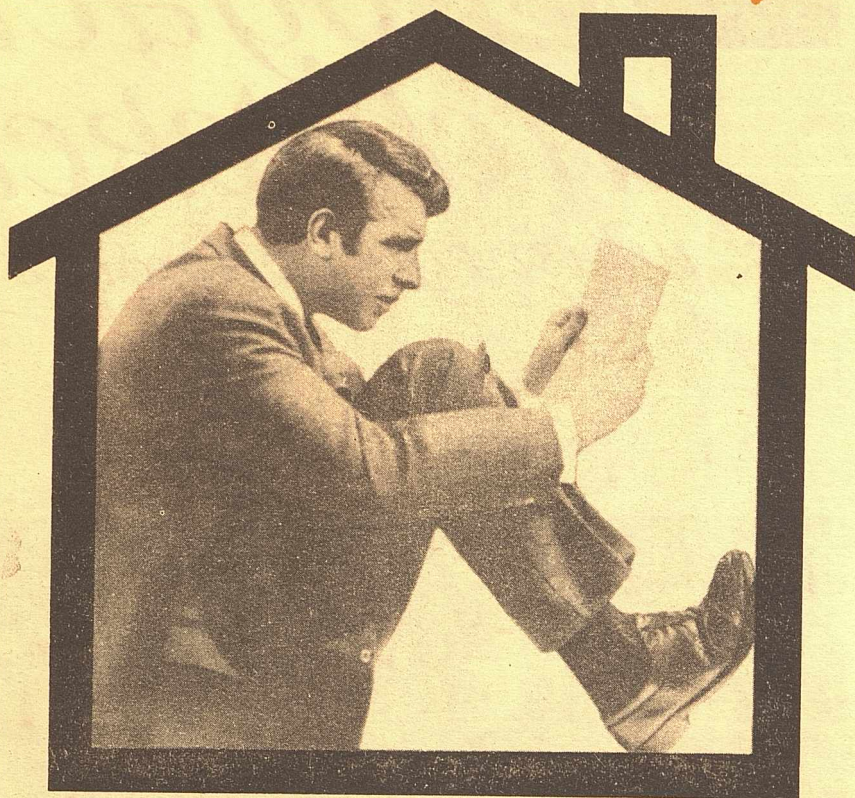
Jak widać - każde miejsce jest dobre. W korytarzu też!



fot.A.Milli

Przy ul. Prusa architektki mają stoły pokryte laminatem - podobno "świetlic" się na nich kreśli!

Konkurs!



Twój dom twój pokój

ZASADY SKŁADANIA PRAC KONKURSOWYCH

Prace konkursowe należy nadsyłać pocztą lub składać osobiście w okresie 15 - 31 V.1969 r. w dni powszednie w godzinach 10 - 12-tej;

- wszystkie plansze, załączniki, koperty, itp oraz opakowanie należy oznaczyć dowolnie wybraną sześciocyfrową liczbą rozpoznawczą, którą należy napisać czarnym tuszem w dolnym rogu;

- do pracy konkursowej należy dołączyć zapieczętowaną kopertę, w której winna się znaleźć kartka z nazwiskiem i adresem autora /autorów/. Koperta i kartka powinny być także oznaczone wybraną, 6 - cyfrową liczbą;

- ponadto do pracy należy dołączyć kartę pokwitowania, zaopatrzoną także w liczbę rozpoznawczą. Przy składaniu pracy w karcie pokwitowania uzyskuje się podpis sekretarza organizacyjnego, odbierającego pracę, pieczętkę Redakcji oraz datę przyjęcia.

W przypadku przysłania pracy pocztą, karta pokwitowania powinna być umieszczona w nie zaklejonej kopercie, zaadresowanej adresem zwrotnym z naklejonym znaczkiem, jak na list polecony.

Najlepsze prace konkursowe zostaną o - publikowane a uzyskane poprzez konkurs informacje - omówione w systematycznym ujęciu. Wszystkie prace będą także udostępnione - zainteresowanym - projektantom, publicystom, działaczom ...

SĄD KONKURSOWY I OGŁOSZENIE WYNIKÓW

W celu przeprowadzenia konkursu powołany zostanie Sąd Konkursowy, którego skład zostanie podany do 10.IV.1969 r.

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone do dn. 15.VI.69 r.

Nagrody będą wypłacane w ciągu dwóch tygodni od daty ogłoszenia wyników.

Redakcja magazynu problemowo-informacyjnego Politechniki Wrocławskiej "SIGMA", ogłasza ZAMKNIĘTY KONKURS PROBLEMOVY NA PROJEKT POKOJU STUDENCKIEGO.

Celem konkursu jest uzyskanie materiałów, dotyczących prawidłowego rozwiązania pod względem funkcjonalnym, technicznym i ekonomicznym oraz plastycznym, typowego pokoju studenckiego w ramach ogólnej koncepcji domu studenckiego. Chodzi o wydobyć - cie w uporządkowanej formie doświadczeń, koncepcji, ulepszeń i nowych rozwiązań, od bezpośrednio zainteresowanych.

W konkursie mogą brać udział wyłącznie studenci Politechniki Wrocławskiej; uczestnikiem konkursu może być jedna osoba lub zespół osób.

Uczestnikom konkursu pozostawia się swobodę w stosowaniu obowiązujących wskaźników i normatywów, dotyczących powierzchni przypadającej na jednego studenta, wyposażenia pokoju, ilości mieszkańców, ogólnego założenia funkcjonalnego domu studenckiego. Jednocześnie podaje się dla orientacji obecne normatywy:

- zalecana ilość mieszkańców jednego pokoju: 2-3 osoby;
- wskaźnik powierzchni na jednego studenta w pokoju 2-osobowym: 6,36 m², w pokoju 3-osobowym - 5,76 m² /wskaźnik jednostkowy dla pokoju mieszkalnego obejmuje również powierzchnię szaf wbudowanych/;
- wysokość pokoju brutto: 2,8 m;
- umywalkę należy przewidzieć w pokoju - tylko pod warunkiem podłączenia jej do jednego pionu sanitarnego na jednej kondygnacji.

Podane normatywy nie obowiązują w pracach niniejszego konkursu. Należy jednak zwrócić uwagę na umiarkowane możliwości realizacyjne w warunkach krajowych.

WYMAGANY ZAKRES OPRACOWANIA

- Rzut pokoju w skali 1:25;
 - rozwinięcie ścian wnętrza 1:25;
 - aksonometria lub perspektywa;
 - schemat ogólny koncepcji domu studenta -kiego 1:200;
 - krótki opis struktury i rozwiązania funkcjonalnego a/ domu studenckiego, b/ pokoju. W szczególności należy zwrócić uwagę na staranne rozgraniczenie funkcji, które będzie spełniał pokój studencki, oraz funkcji wspólnych pomieszczeń domu.
- Technika i format opracowania - dowolne. Przy ocenie projektów będzie się zwracać przede wszystkim uwagę na rozwiązanie funkcjonalno - techniczne.

TERMINY

Termin ogłoszenia konkursu: 6 marca br
Termin uzyskania dodatkowych, anonimowych, informacji w Redakcji - 30.III.1969r. Ostateczny termin składania prac konkursowych - 31.V.1969r.

NAGRODY

Na nagrody przeznaczona jest kwota 4000 złotych.

I nagroda - 2000 zł
II i III nagroda - po 1000 zł.

Redakcja zastrzega sobie prawo innego rozdziału nagród w ramach podanej kwoty.



KLUBY

o kulturze specyficznie

Kluby studenckie. Jest ich kilka przy naszej Uczelni; rozlokowane w domach akademickich wyróżniają się od innych pomieszczeń napisem: "Klub" na drzwiach i nieco zmienioną oprawą plastyczną. Zastanowiło mnie jednak, czym formy pracy tych instytucji różnią się od (przykładowo) klubu dziewiarza czy drzewiarza.

Przejrzymy program któregoś z klubów: pierwszy dzień tygodnia - wypisane na stałe: "Klub nieczynny", od wtorku do piątku przeważnie też nieczynny, choć czasami zdarzy się jakieś spotkanie, dyskusja, kurs kierowców samochodowych lub kurs tańca (wszystko, co dzieje się w pomieszczeniach klubowych, podlega pod działalność klubu) wreszcie dwa żelazne punkty programu: sobota i niedziela - "Wieczorek taneczny". Tydzień mamy z głowy, plan wykonany, więc robi się program na tydzień następny, nota bene niczym nie różniący się od poprzedniego.

Spowodowane jest to tym, że praca i jej ocena polega na sprawozdawczości i dobrym "wywiązywaniu się".

Twierdzenie, że brak nam ludzi predysponowanych do popularyzowania kultury, byłoby absurdem. Ludzie są i to z entuzjazmem, który jednak po pierwszych starciach z działaczami zaczyna przygasać. Przeanalizuję w tym miejscu skład ekipy piosenkarzkiej Wrocławia na VII Festiwal Piosenkarzy i Piosenki Studenckiej w Krakowie. Mianowicie: jedna osoba ze Studium Kulturalno-Oświatowego, dwie z Uniwersytetu i trzy z Politechniki. Pod względem ilości uczestników w półfinałach jesteśmy drugą uczelnią w kraju po WSE (Sopot): trzech piosenkarzy w szóstce najlepszych we Wrocławiu!

- Potęga - rzekłby postronny widz.

A w jakim klubie działają ci ludzie, w jaki sposób Komisja Kultury doszła do takich rezultatów, że Uczelnia dzięki jej pracy uzyskała miano najbardziej rozwspiewanej we Wrocławiu?

Rzeczywistość nie jest jednak tak wesoła, jak by mogło wynikać ze statystyk. Piosenkarze ci nie działają w żadnym z klubów studenckich Politechniki, ba - są bardziej znani w Radzie Okręgowej ZSP niż we własnej uczelni. Wprawdzie jeden z owych trzech ludzi śpiewa w zespole teoretycznie zależnym od Rady Uczelnianej (Elar-5), pozostali dwaj natomiast nie mają nawet tych formalnych powiązań z RU - występują w ST "Kalambur". Nie twierdzą, że ich przynależność do "Kalamuru" jest zjawiskiem negatywnym; nie dochowaliśmy się dotychczas teatru tej miary, choć do "Kalamuru" należy osiem osób z Politechniki (na marginesie: niektóre uczelnie mają swoje teatry - Gong-2, Nawias i in.).

Z tego wniosek, że ludzie są, jednak na skutek ograniczonych możliwości nie mogą kontynuować działalności artystycznej w ramach rodzimej uczelni. Przykładem potwierdzającym moje - dość długie - wywody może być Studio Piosenki, którego projekt powstał jeszcze w listopadzie ubiegłego roku. Pomoc swoją zadeklarowały wszelkiego rodzaju Rady i nie tylko; dyskusje (a dyskutować student lubi) o kształcie artystycznym i strukturze trwały dni kilka nieprzerwanie i na tym praktycznie pomysł padł, bo właściwie - po co nowy kłopot? Nie wiadomo, czy będzie to dobre, czy choćby genialne...

Można by mnożyć przykłady innych zespołów, które formalnie działają przy naszej Radzie Uczelnianej. Choćby grupa momego uderzenia "Romuald i Roman"; zależność zespołu od Rady zawęża się jednak tylko do tego, że może ich ona zawiesić w działalności, kiedy zechce. Baczny czytelnik "Sigmy" przypomina sobie zapewne, iż grupa instrumentalno-wokalna "Romuald i Roman" odnosiła w ostatnich czasach duże sukcesy. Nie jest ona jednak "osobiście" znana studentom naszej Uczelni.

Właśnie kluby mogłyby spełnić zadanie popularyzatora zespołów artystycznych RU. Na razie działalność ich (Romuald i Roman, Elar-5, Gest) ogranicza się do wszelkiego rodzaju festiwali, które powinny być sprawdzianem a nie celem samym w sobie dla studenckich zespołów artystycznych.

Te moje luźne uwagi o kulturze na naszym podwórku są tylko pojedynczym głosem w ogólnostudenckiej dyskusji z okazji Kongresu ZSP. Być może - pozwolą one zmienić formy pracy kulturalnej w pewnym, znikomym choćby, stopniu

TOMASZ DRAWSKI



foto.M.Klincewicz. Od lewej:Leokadia Kucharska,Krystyna Syczewska, Maria Pośpiech.

Brawo
nasze
panie

dniu 16.II.br odbyła się w Szklarskiej Porębie IV Zimowa Spartakiada-Ognisk TKKF.

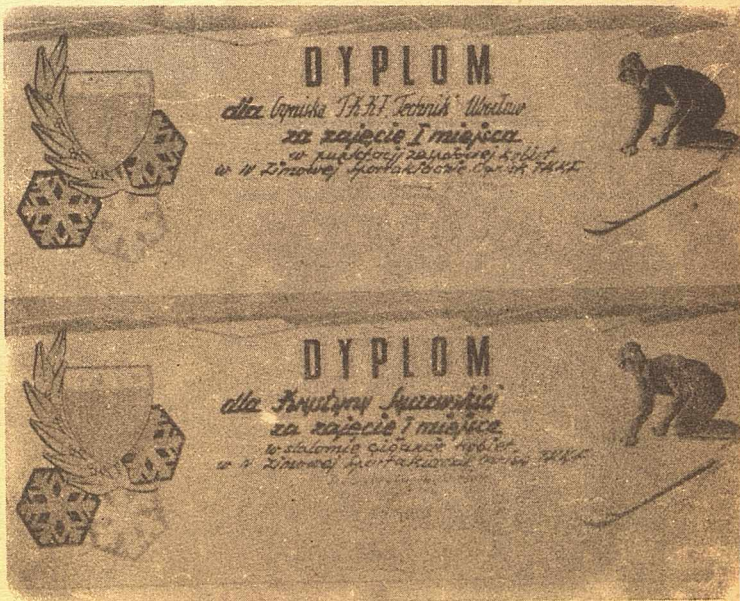
I miejsce w punktacji zespołowej kobiet zajęła drużyna Politechniki Wrocławskiej Ogniska TKKF "Technik", w składzie: Krystyna Syczewska z Instytutu Inżynierii Chemicznej i Urządzeń Ciepłych, Leokadia Kucharska /Inst. Technologii Nieorganicznej i Nawozów Mineralnych/ oraz Maria Pośpiech /Studium WF/.

Ponadto Krystyna Syczewska zajęła I miejsce w slalomie gigantki kobiet.

Z.

Gratulujemy naszym paniom!-

"SIGMA"



Można śmiało rzec, że drugą co do wielkości imprezą po inauguracji roku akademickiego na Wydziale Górniczym było Ogólnopolskie Sympozjum Kół Naukowych Górników, zorganizowane przez KN Górników Politechniki Wrocławskiej w Karpaczu, w dniach 13-15 grudnia. Miejscem obrad była "Limba", wysunięta nieco na peryferie miasta.

Dom wypoczynkowy "Limba" - oprócz korzystnego położenia posiada świetne wyposażenie, nadające się do organizacji tego typu spotkań. Zebrali się studenci - górnicy Politechniki Wrocławskiej, AGH - Kraków i Politechniki Gliwickiej - w sumie 35 osób - by poprzez referaty, przedczuć, wymienić własne doświadczenia i osiągnięcia.

Na zaproszenie przybyli do Karpacza pracownicy naukowcy, znawcy problemów górniczych - prof. W. Czechowicz i dr A. Owczarek oraz przedstawiciele Wydziału Górniczego, dr M. Jokieli i kilku młodszych pracowników naukowych.

W sumie przedstawiono 7 referatów; każdy z referatów odpowiadał na pytania słuchaczy, zadawane w przypadkach kontrowersyjnych poglądów na problem.

Dorobek górników ujęty zostanie w specjalnym zeszycie.

Studentów z Krakowa i Gliwic zaszkodziła organizacja imprezy - jej sprawne przeprowadzenie. Oprawa sympozjum, ciekawe referaty, organizacja wspólnego wieczorku, wspólnej dyskusji przy kawie, sprawiły, że jednym z najczęściej padających pytań było: Kto jest organizatorem tej imprezy? Ta duża impreza zorganizowana została wysiłkiem garstki ludzi. I tak: z ramienia KN Górników czynny udział w organizacji wziął kol. Chrzan, a decydujący wkład wniosła organizacja ZMS w osobach kol. kol. R. Borysa i Zb. Bajcara. W wykonaniu tego trudnego zadania pomogły także władze Wydziału Górniczego - doc. dr Z. Gergowicz i dr Czubaśkiewicz. Żle się chyba stało, że nie widzieliśmy tu wkładu ZSF, mimo, że organizatorzy zwracali się z prośbą o pomoc.

Analitycznego podsumowania sympozjum w Karpaczu dokona SNS, ale już dziś możemy stwierdzić, że impreza była niezwykle i w studenckim ruchu naukowym przejdzie do historii.

KAZIMIERZ BARANIECKI

POZYTECZNA WYMIANA POGLĄDÓW

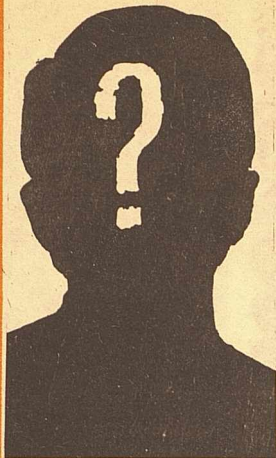
W dniach od 29 stycznia do 2 lutego br. Politechnika Wrocławska gościła delegację z Technicznego Uniwersytetu w Dreźnie. Na zaproszenie przybyli: Rektor TU, prof. Lipscher, I sekretarz KU, dr Melssner, dyrektor d/s badań naukowych dr Felka oraz osoby towarzyszące.

Wizytę poświęcono naradom nad problemami racjonalizacji studiów, organizacji i finansowania badań naukowych oraz zagadnieniom wychowania politycznego i zawodowego młodzieży.

Goście zwiedzili Instytuty: Cybernetyki Technicznej i Metrologii Elektrycznej.

W ostatnim dniu pobytu zorganizowano wycieczkę do Karpacza.

Z.S.



KTO TO JEST STA ROST TA

Pamiętam, że gdy kilka lat temu przyszedłem na studia i trzeba było wybrać starostę grupy, przystępując do prowadzenia wyborów kolega repetent powiedział: "Starosta jest to taka osoba, która w odpowiednich momentach mówi, że grupa jest nie przygotowana, że grupa pomyliła salę..."

Kto to jest starosta? Wybór starosty na I roku jest bardzo przypadkowy; prawie nikt dokładnie nie wie, kogo wybierze, ba - sam wybrany nie bardzo wie, o co chodzi. A potem piastuje "urząd" nierzadko aż do końca...

Funkcja ta jest oczywiście bezwzględnie potrzebna; studenci muszą mieć swego przedstawiciela, który będzie reprezentował ich interesy na zewnątrz. A jakie są te interesy studentów? Przede wszystkim - chcą przejść przez studia bez większych kłopotów. Rola starosty sprowadza się w zasadzie do przytoczonego powyżej cytatu, tylko ... to dziwnie jakos nie skutkuje. Zdarza się też, że jest on delegowany przez grupę do wyższych władz, by interweniować przeciw zbyt ostrym rygorom, jakie stosuje ten, czy ów asystent. I tu właśnie rola starosty jest bardzo niewdzięczna. Po pierwsze - nie zawsze pretensje kolegów są uzasadnione, ale ma się przecież ten obowiązek reprezentowania tych, którzy obdarzyli nas "zaufaniem". Po drugie - bardzo trudno rozmawia się z tymi władzami, bo student przychodzący ze skargą, zawsze traktowany jest nieufnie; wiadomo, że studenci nie chcą się uczyć i zawsze robią wszystko, by iść po najmniejszej drodze oporu... Po trzecie - starosta bardzo często się po prostu boli. Sam jest przecież studentem; staje potem przy tablicy oko w oko z tym, do którego zgłaszał zastrzeżenia. No i wreszcie, gdy nie uda się nic załatwić, patrzy się na starostę, jak na życiowego niedojdę, co to nic nie potrafi. Ba, slyszalem już zarzut, że nic nie załatwił, bo był zbyt ugrzeczniony, zbyt prawdomówny.

Osobny, bardzo ważny problem - to sprawy bytowe. Tu starosta grupy w zasadzie nie odgrywa żadnej roli; zaczyna się pole działania dla starosty roku. Przy rozdziale bonów stółkowych, stypendiów, miejsc w akademikach "to pole działania" ogranicza się jednak - jak dotychczas - do zbierania podań, poporządkowania ich, sporządzenia list, wykazów, tabeli i zestawów. Dopiero potem komisja, na czele której stoi przecież pracownik naukowy, dokonuje rozdziału świadczeń według norm i przepisów. Wyniki każdy może sprawdzić w protokole i specjalnej księdze. Zawsze jest wielu niezadowolonych i czujących się pokrzywdzonymi. Nie twierdzę, że to odczucie krzywdy jest nieuzasadnione, tylko że zastrzeżenia budzić mogą zaświadczenia o dochodach, a nie osoba starosty. Gdyby ode mnie zależało, obrady komisji ekonomicznych uczyniłbym dostępnymi dla wszystkich - niechaj kto chce przyjdzie i zobaczy, jak dokonuje się rozdziału świadczeń.

Do roli starosty należy także zbieranie indeksów, legitymacji, książeczek zdrowia i chodzenie, chodzenie... "Pana dziekana dziś nie ma", "Pan doktor gdzieś tu był przed chwilą", "Proszę zaczekać na korytarzu"...

Więc kto to jest starosta? Jak dotychczas - jest to rodzaj urzędnika, który pośredniczy w rozdziale świadczeń między Państwem a studentami, pośredniczy w oddawaniu indeksów, legitymacji itp. do dziekana, pośredniczy w przekazywaniu studentom decyzji dziekana.

Ostatnio postanowiono zlikwidować starostę-pośrednika, a stworzyć funkcję starosty-działacza. Ma on brać udział w posiedzeniach Rady Instytutu czy Wydziału, pomagać przez opiniowanie w nagradzaniu i udzielaniu nagan studentom, "organizować" wycieczki, dyskusje polityczne, imprezy kulturalne, sportową pracę społeczną. Jego głos będzie się liczył przy układaniu planu, a nawet programu zajęć. Władze Uczelni mają mu zapewnić swobodę działania we wszystkich poczynaniach, które podejmie w związku z ochroną interesów studentów. Starosta ma być osobą znającą na wylot wszystkie problemy przynależnych jego grupie studentów.

Plany są bardzo piękne, ale na wcielenie ich w życie patrzeć dość pesymistycznie. Nie sądzę, by pracownicy naukowcy tak zaraz spojrzeli na starostę ciepłym, przychylnym wzrokiem, pozwalającym działać mu odważnie na wszystkich odcinkach, by liczyli się z jego zdaniem w takich sprawach, jak sposób prowadzenia zajęć czy tym podobne. Już teraz starosta -pośrednik traci sporo czasu na swoją pracę, ale jeżeli jeszcze ma dojść do jego obowiązków dbanie o polityczny, kulturalny i fizyczny rozwój kolegów, będzie to musiało się odbić na jego wynikach w nauce. W dodatku, jeżeli już uda mu się zorganizować ciekawe spotkanie - i tak nie będzie w stanie zapewnić frekwencji. Zupełnie już nie wyrażam sobie troski o rozwój kultury fizycznej (która, nawiasem mówiąc, przedstawia się u nas niemal skandalicznie).

Wydaje mi się, że konieczne jest wykształcenie pełnego kolektywu. Sam starosta niewiele dokona. Całe środowisko studenckie musi się ożywić, dojrzeć do tego, by jeden człowiek sprostał roli kierowania wymienioną wyżej działalnością.

W sprawach dotyczących stosunków: studenci - pracownicy naukowcy, starosta powinien ściśle współpracować z opiekunem roku (grupy). Właśnie bardzo dużo zależy od opiekuna. Jemu łatwiej dotrzeć do wielu osób, bardziej trzeźwo i bezstronnie patrzy na pewne sprawy. Byłoby dobrze, gdyby studenci mieli wpływ na to, kto będzie ich opiekunem.

Podsumowując: uważam, że tak długo, jak długo starosta na roku będzie sam, nie uda mu się sprostać nakładanym nań wymaganiom. Nie pomogą też zapewnienia w regulaminie, że pełniący funkcję starosty chronić będzie pewnego rodzaju immunitet. Pracownicy naukowcy (szczególnie ci młodzi) muszą zrozumieć, że działanie starosty dyktowane jest racją stanu ogółu studentów i on sam, jako pojedynczy student, nie może ponosić za to żadnych konsekwencji. Oczywiście nie może liczyć z tego tytułu na jakiegokolwiek ulgi i udogodnienia. Obowiązki studenckie przede wszystkim.

I jeszcze jedno: funkcja starosty nie może być "dożywnością". Co roku powinna następować zmiana na tym stanowisku - nowe propozycje idą zresztą w tym kierunku.

ZBIGNIEW SZTUBA



Opiekun zespołu-p.Reinhart

Założyciel i kierownik zespołu
Piotr Janczerski

Fot.J.Chwiczuk

No To Co

W sobotę 25 stycznia br w klubie "Gwarek" /Atol/ gościł znany zespół bitowy "NO TO CO". Organizatorom im-prezy /Mieczysław Dereń i Andrzej Nowak/ kierownictwo klubu przyszło z dużą pomocą.

Planuje się dalsze, równie ciekawe i atrakcyjne spotkania.

/J.Ch./



Re wi zy ta



W lipcu 1968 r. oddano do eksploatacji Lubin. Niemały udział mieli w gorącym okresie budowy także pracownicy naszej Politechniki. Tak np. Zakład Budownictwa Stalowego przy Instytucie Budownictwa opracował proces technologiczny spawania i scalania konstrukcji stalowych elementów nośnych nadzuby i mostów transporterowych.

Ta ścisła współpraca trwała już od 1965 r. Nasi pracownicy niejednokrotnie wyjeżdżali na plac budowy służąc na miejscu radą i propozycjami nowych rozwiązań przyspieszających budowę.

Pierwsze prace zakończono i oto zdarzyła się okazja do złożenia rewizyty; przewodnicy i racjonalizatorzy Przedsiębiorstwa Budowlano-Montażowego Kopalnictwa Rud Miedzi zaproszeni zostali na Politechnikę, aby zaobserwować dzień powszedni Uczelni.

Inicjatorem i organizatorem wycieczki był dr J. Kania z zakładu Budownictwa Stalowego. Przyjechało około 40 osób, wśród których znaleźli się i nasi absolwenci.

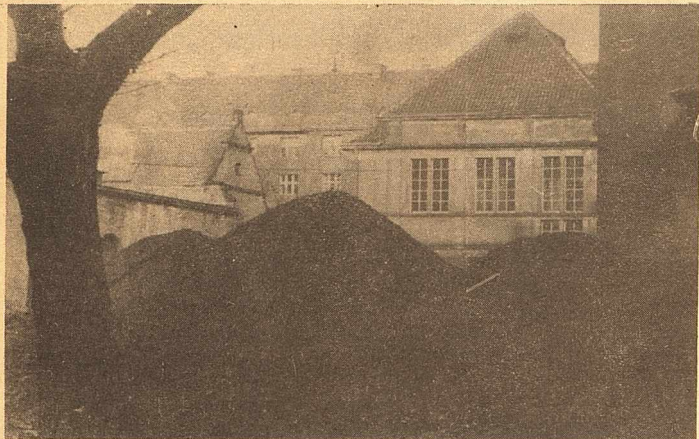
Po powitaniu przez dziekana Wydz. Budownictwa zaproszeni goście wysiuchali wraz ze studentami III roku bieżącego wykładu z mechaniki teoretycznej. Następnie zwiedzano pracownię i laboratoria: Konstrukcji Żelbetowych, Konstrukcji Stalowych, Materiałów Budowlanych, Budowy Mostów, laboratorium spawalnicze i inne. Gospodarze zademonstrowali również przykład programowania i liczenia na maszynie cyfrowej.

Wizytę zakończyło spotkanie w Klubie ZOZ z kierownictwem Uczelni. W dyskusji niejednokrotnie podkreślano zadowolenie z możliwości poznania Uczelni, co dla wielu zaproszonych gości było pierwszym zetknięciem się z systemem studiów wyższych. Były i uwagi pełne rozczarowania a dotyczyły one głównie niedostatecznego wyposażenia w aparaturę i złych warunków lokalowych, z jakimi borykają się niektóre nasze zakłady: "Niewiele się u was zmieniło od czasu, gdy dziesięć czy piętnaście lat temu odrabialiśmy tu swoje ćwiczenia".

Podkreślono konieczność dalszej współpracy Politechniki z przemysłem.

Pomysł tego rodzaju spotkań wydaje się nam interesujący i godny kontynuowania.

Z.



fol. S. Cichulecki

Powyższa fotografia przedstawia:

FOTOZAGADKA:

- a/ Krajobraz angielski z końca XIX wieku;
- b/ kadr z filmu "Młodość palacza";
- c/ podwórze jednej z większych uczelni we Wrocławiu.

Odpowiedzi prosimy kierować pod wiadomy adres.

Foto quiz

Panie, to tu!

Konferencja, jak konferencja, zapowiadała się nudnie. No ale ja pierwszy raz w życiu byłem delegatem (10,50 zł diety)! Obrady odbyły się w pewnym poznańskim technikum. Sala obrad była na parterze. Już miałem do wejść, gdy poczułem nagle pewną fizjologiczną potrzebę...

- Przepraszam, gdzie tu jest ubikacja - spytałem porządkowego.

- Na górze.
Poszedłem na górę, obszedłem całe piętro, wszędzie: klasy, gabinety, pracownie, a tego nie ma. Po korytarzu kręcił się też jakiś młody człowiek.

- Pan też szuka? - spytałem.

- Też. Ale to powinno być przecież napisane.

- Pewnie.

Dalsze poszukiwania kontynuowaliśmy razem. Razem też psioczyliśmy na organizatorów. Obeszliśmy nie tylko pierwsze, ale i drugie piętro. Wreszcie, gdy byliśmy doszczętnie załamani, dojrzałem na końcu korytarza małe, "zakamuflowane" drzwi. Otworzyłem je ostrożnie i obejrzałem się na współposzukiwacza z triumfem.

- Panie to tu - powiedziałem.
Sporządził mi przez ramię, westchnął i pokiwiał głową.

- Nie, to nie tu.
Wzruszyłem ramionami i zrobiłem, co do mnie należało. Gdy wracałem, ów młody człowiek wciąż szukał.

- Panie, to było tam.
- Nie, to nie tam - odpowiedział.
- A pan to czego właściwie szuka?
- No sali obrad!

ZBIGNIEW SZTUBA

Utarło się mniemanie, iż zapał młodych adeptów sztuki plastycznej małeje wraz z upływem lat studiów w pracowniach szkoły, tak, że bardzo często plastyk opuszczający szacowne mury przestaje w ogóle pracować, a jeżeli nawet tak nie jest, to jego praca nie ma wspólnego z pracą twórczą. Bywają również wypadki, że absolutnie przepojony manierą swego mistrza nie może się jej wyżyć, chociaż rzuca się, tarmosi przez długie lata - naturalnie w tym wypadku końcowy efekt zależy wyłącznie od indywidualnych cech denata: albo wyzwala się albo rezygnuje z działalności twórczej na korzyść rzemiosła artystycznego.

Akurat przeciwieństwem tego wszystkiego jest sylwetka młodego rzeźbiarza, Andrzeja Łętowskiego. Podczas pierwszej rozmowy od razu zrozumiałem, że w nim drzemie jakaś utajona siła, moc uzewnętrzniająca się w jego pracach, bo wtedy już je znam. Niewiele ich wprawdzie powstawało, ale przecież artysta niedawno ukończył PWSSP we Wrocławiu; nie miał więc sposobności jeszcze wiele zrobić, zwłaszcza, że praca rzeźbiarza jest żmudna, ciężka i wymaga wiele, bardzo wiele czasu. To co widziałem już wcześniej, było ceramicznymi rzeźbami, z oryginalną kompozycją, fakturą; były to prace przepięknie ciche, a jednak mocną ekspresją. Ale mnie przy pierwszym spotkaniu z artystą uderzyły niesłychane wprost emocjonalne zaangażowanie w sprawę sztuki. Pomyślałem wtedy: "On ma mentalność van Gogha".

Takie było moje pierwsze spotkanie z Andrzejem Łętowskim. Te pierwsze nie skazane niczymi wrażenia przetrwały do następnego i następnego spotkania. Dużo dyskusowaliśmy podczas każdego z nich, roztrząsając rzeczy i sprawy bliskie sztuce, czy samej twórczości: sprawy nieraz błahе, czasem pozornie nieważne, nie zawsze rozwiązywalne, czy wręcz nonsensowne. Szło mi o wyciągnięcie z artysty jego dążeń, pragnień; szło mi o to, aby wyłożyć "karty na stół", swoje wnętrza, całą płatannę konfliktów, którą w sobie przecież nosi. Chciałem go poznać do głębi, bo przecież w przyszłości, nawet niedłkiej pragnąłem zaprezentować go wam, Czytelnicy. Uważałem bowiem, że jeżeli może jeszcze nie jest jednym z najciekawszych rzeźbiarzy Wrocławia, to napewno wkrótce nim będzie, oczywiście pod warunkiem ciągłej i nieustającej pracy.

Jak już wspomniałem, Andrzej Łętowski niedawno wyszedł z pracowni szkolnej, bo niecałe cztery lata temu, to przecież jak na plastyka parającego się rzeźbą jest bardzo niewiele. A jednak w ciągu tego okresu potrafił wyżyć się szkolarskiej manlery, wyzwolić się spod wpływu lokalnych mistrzów, i - jak zdążyłem się przekonać - potrafił nakreślić na razie jeszcze dość mglisty, niezbyt jeszcze ostry, profil swojej twórczości; zaczął więc zmierzać w pewnym obranym przez siebie kierunku. Naturalnie orientację ową nakreślił mu inni, ale ktoś dziś nie nosi w sobie przynajmniej ośmiłek innych? To są zarówno zbawienne, jak i negatywne skutki naszych współczesnych środków przekazu.

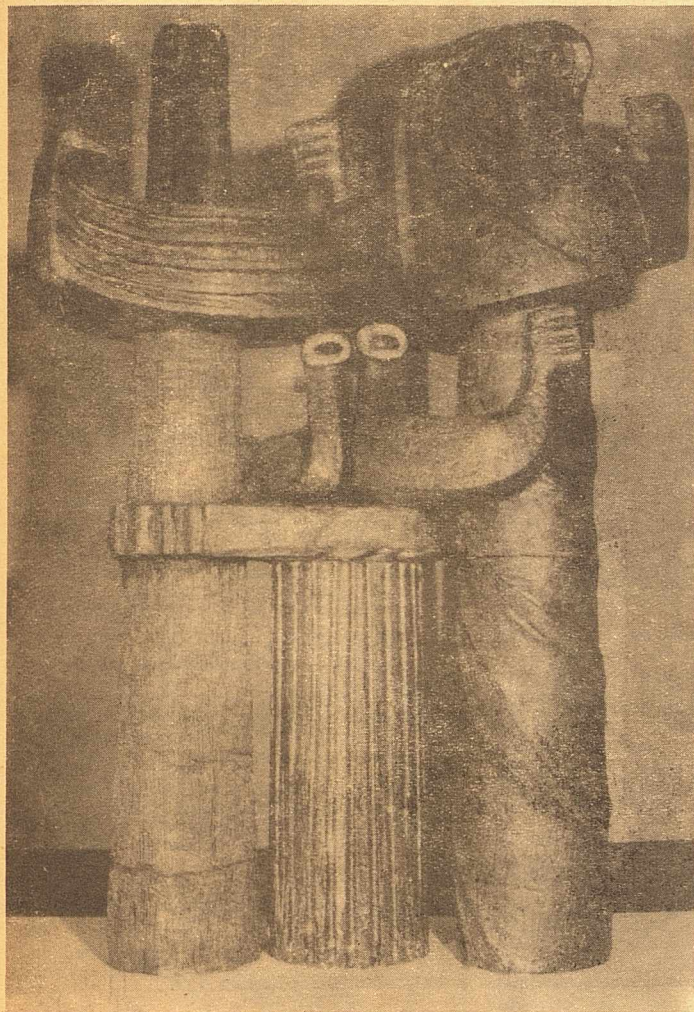
Zmierzając więc artysta w kierunku jak najbardziej współcześnie pojętego realizmu, coraz bardziej świadomie, ciągle naprzód, choć powoli odrzucając obcych, klarując swoją wizję. Stąd też w jego pracach niekiedy odczuwa się dalekie echa obcych, organicznych form Moora, ekspresyjnie splecionych płaszczyzn Zadkine'a, czy skubiznowanych kształtów Archipienki. Ale - jak wspomniałem - są to dalekie echa, dość odległe reminiscencje tych wielkich mistrzów formy. Mam wrażenie, że to dobrze, bo przecież artysta pragnie, jak mi się wydaje, posunąć dalej to, co oni zrobili; pragnie całą siłą swojej duszy dotrzeć do esencji formy przedmiotu - a potem, gdy już to osiągnie - zostawić te w sublimowane kształty, tworząc nową całość. Przypomina mi się w tym miejscu dość banalne powiedzonko: "Rzeźbiąc akt, ptaka, grupę, chce artysta zrobić coś prawdziwszego niż akt, ptak, grupa". A więc odrzucić zbytek, zostawić to, to co mówi o samej istocie danego przedmiotu, czy zjawiska. Żmudna to praca i nieraz bardzo niewdzięczna, ale jakże wspaniałą może mieć końcowy efekt.

ŚLAWOMIR HULANICKI

Na Plenum Rady Okręgowej ZSP we Wrocławiu 17.II.br na miejsce ustępującego przewodniczącego RO, Pawła Chochołaka, przewodniczącym Rady Okręgowej został Ludwik Bukowski, dotychczasowy przewodniczący Rady Uczelnianej ZSP Politechniki Wrocławskiej. Gratulujemy!

"SIGMA"

Rzeźby Łętowskiego



fot. S. Arczyński



Nowe władze ZOZ

W grudniu 1968 r. odbyły się wybory do Naczelnej Organizacji Związkowej na Politechnice Wrocławskiej, która jest Radą Zakładową. Składa się ona z 21 członków, spośród których wybrany zostaje prezes, sekretarz, trzech wiceprezów oraz dwóch członków prezydium. Taką grupą ludzi stanowi prezydium Rady Zakładowej i jest głównym organem wykonawczym. (Skład nowego prezydium podawaliśmy już w SIGMIE nr 7). Pozostali członkowie Rady kierują pracą w dziewięciu następujących komisjach stawiających sobie za cele:

1) KOMISJA TURYSTYKI I SPORTU współpracuje z TKKF i PTKF przy organizowaniu imprez sportowych i turystycznych, dysponuje autokarem, opiekuje się sprzętem sportowym Rady Zakładowej na miejscu i w ośrodkach wypoczynkowych.

2) KOMISJA WZIASÓW zajmuje się wydaniem skierowań na wczas FWP, ZNP i do ośrodków Politechniki, informacją pracowników o akcji wczasowej, publicznym rozdzielaniem skierowań.

3) KOMISJA WSPÓLPRACY Z ZAGRANICĄ organizuje zbiorowe wycieczki do NRD, CSRS i innych krajów - najczęściej własnym autokarem, prowadzi wymianę wczasów i nawiązuje kontakty z uczelniami innych krajów.

4) KOMISJA SOCJALNA rozciąga opiekę nad przedszkolem, współpracuje w akcji kolonijnej, organizuje imprezy dziecięce (bal choinkowy, dzień dziecka), opiekuje się komitetem stołowym, ambulatorium, opiniuje podania o sanatoria i wczas lecznicze, opiekuje się kołem emerytów.

5) KOMISJA MIESZKANOWA wspólnie z władzami Uczelni analizuje potrzeby mieszkaniowe pracowników i studentów, opiniuje wnioski mieszkaniowe, załatwia pożyczki mieszkaniowe na budownictwo spółdzielcze, oraz bierze udział w komisji kwalifikującej do hotelu asystenta.

6) KOMISJA NAUKOWO-DYDAKTYCZNA organizuje konkursy dotyczące osiągnięć pracy dydaktycznej oraz dyskusje, odczyty i spotkania z wybitnymi pedagogami, prowadzi lektoraty z języków obcych dla pracowników oraz akcje "drzwi otwartych", organizuje spotkania wykładowców Uczelni z naukowcami szkół średnich.

7) KOMISJA KULTURALNO-OŚWIATOWA opiekuje się klubami, organizuje wystawy, dyskusje, teatry przy stole itp., prowadzi sekcje bridsową, kółka rytmiki i baletu dla dzieci pracowników, organizuje życie kulturalne w ośrodkach wczasowych.

8) KOMISJA OCHRONY PRACY współpracuje z komórką BHP w Uczelni i Technicznym Inspektorem Pracy Zarządu Okręgu, bierze udział w komisjach powypadkowych oraz w komisjach przyznających dodatki za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia, kontroluje warunki pracy w poszczególnych zakładach, współorganizuje kursy szkoleniowe w zakresie BHP, sprawuje kontrolę nad przestrzeganiem przez administrację przepisów ustawodawstwa z zakresu ochrony pracy.

9) KOMISJA EKONOMICZNA I OCHRONY PRAWNEJ osuwa nad warunkami zatrudnienia, przestrzeganiem umów zbiorowych wynikających z prawa pracy, analizuje warunki pracy, premiowania, nagradzania i awansów pracowników, załatwia bieżące sprawy prawne członków związku oraz opiekuje się agencją PKO.

W skład obecnego Zarządu weszło 12 nowych członków, co oznacza, że 50% - to nowi działacze. Zostali oni wysunęci przez macierzyste organizacje oddziałowe przy instytucjach, na terenie których cieszą się dużym zaufaniem. Rokują oni nadzieję pełnego zaangażowania społecznego.

Z.

Życzymy owocnej pracy - Zespół "SIGMA"

Ten list był już napisany bardzo dawno. W zaadresowanej kopercie, zaklejony, leżał w sufladzie na widocznym miejscu. Dziś nie pamiętam treści, ale wiem, że wtedy kiedy go pisałem, był bardzo ważny i pilny... i że na pewno ktoś go oczekiwał. A potem leżał. Długo. Kilka razy zabierałem go ze sobą, aby wrzucić do czerwonej skrzynki, jednak nigdy mi się to nie udało; zawsze list przynosiłem z powrotem do domu i kładłem do suflady, ale na widoczne miejsce. Dokładnie nie pamiętam, jaki czas upłynął od napisania tego listu, ale napewno lat kilka, a może kilkanaście. Koperta zapewne kiedyś niebieska, teraz wyszarzała, a atrament, zielony - zupełnie nieczytelny. Zapomniałem, i nie wiem sobie w tej chwili przypomnieć, komu ten list był przeznaczony; pamiętam tylko, że był bardzo ważny, a ważny jest chyba i dziś jeszcze.

Miała wokół nosa piegi, dużo piegów, a włosy, takie jakie miała ona, nazywają: "jak len". Nie wiem dlaczego, bo nigdy takiego lnu nie widziałem, chociaż z lmem miałem wiele utrapień w rozszarniach i w przedziałach, czy wrzescie w wykańczalniach i farbiarniach.

A wtedy było lato; urlop spędziłem na górskich szlakach, w Beskidach. Ta Piegowata ze mną.

Upały trwały już kilka dni, a szczególnie w dzień poprzedzający tę spinaczkę. Toteż wszystko, co żywe i rosnące, pragnęło deszczu, który jakoś nie chciał spadać; i oczekiwano rozładowania tej cisy gęstej i wiszczącej duszności.

Wybraliśmy się na Szyndzielnię. Nie było jeszcze wtedy koleжки linowej, a nawet gdyby była, to i tak nie skorzystalibyśmy z niej. Droga z początku idzie łagodnie, ale upał okropny wypoczął nas zupełnie, że cali byliśmy mokrzy, a tylko w ustach sucho i słońce.

Zostaliśmy tu, nie mam ochoty na dalszą morderkę - wyjechała Piegowata.

Byliśmy dopiero na Dęboczu, więc nie miałem najmniejszej chęci pozostać; nie lubię niedokończonych wędrówek, nieosiągnięcia wytyczonego celu.

Nic z tego - idziemy dalej; a bynajmniej ja idę dalej - chciesz, to zostań.

Poprawiłem opadający plecak, przerzuciłem na drugie ramię aparat fotograficzny i szedłem dalej ścieżką. Siyszałem, bo w tak nieruchomym powietrzu wszystko dobroszychać, że Piegowata wlece się za mną w niewielkiej odległości. A więc nie została; przecież mogła zostać - szła jednak, dźwigając niewiele lżejszy od mego plecak.

Uprzednio już ustaliliśmy, że w schronisku na Szyndzielni spędzimy dwa albo trzy dni, aby skorzystać z pełni słońca, bo urlop miał się już w końcu.

Przy ścieżce zakurzone drzewa, tak szare, że bezwonne jak pył drożny i powietrze wokół. Szedłem z nogi na nogę, i tylko siyszałem, jak Piegowata ledwo posuwa nogami, siyszałem każde podrzucenie jej ciężkiego plecaka, i częste, za częste, przystawania dla wypoczynku. Męczyła się bardzo. Wtedy zwałniałem krok już i tak bardzo leniwy, aby mogła podążyć za mną, lecz sam nie przystawałem wcale, bo chciałem, by widziała, jaki jestem silny i w kondycji.

Ten list, który teraz wyjąłem z suflady, pochodzi chyba z tamtego lata, bo też jest taki szary jak osiady na liściach pył. Przypomniał mi się wędrówkę, i coś jeszcze, co tej spinaczki dotyczyło. Przewracam list w palcach i korci mnie, aby rozzerwać kopertę; czym prędzej przecież odpędzam tę świętokradczą myśl, no bo jeśli przeleżał w sufladzie tak długie lata, przecież nie rok, a lat wiele, i do tychozas nie uczyniłem tego, to chyba w tym celu, aby kiedyś wrzescie list ten wstał tam, gdzie przeznaczony, a jeśli dotąd nie wystąpi, to widocznie nie nadszedł jeszcze odpowiedni ku temu czas.

Wyruszyliśmy jak zwykle o dziesiątej rano, i do schroniska - powinniśmy dotrzeć po wolnej, trzygodzinnej wspinaczce. Ale wtedy południe przytyło już niemiłosiernie, a mieliśmy zaledwie połowę drogi za sobą.

Dalej nie idę - usłyszałem zdyszczanie, piszczenie z suchości głoś Piegowatej - nie mogę, to nie ma sensu.

Ma sens - stwierdziłem ostro, i nawet nie przystanąłem, by na nią zaczekać.

Uszedłem zaledwie kilkadziesiąt kroków, podczas których nie było tego powłóczenia nogami poza mną, gdy ponownie usłyszałem jej głos:

Nie idę... tu zostaję - powiedziała - poprzeczając.

Nie odpowiedziałem i nie przystanąłem. Po paru krokach usłyszałem jej niby pośpieszny a posuwisty chód, często się po-

tykający na ścieżce o wystające korzenie i sterczące kamienie. A w dodatku ten upał potworny i nieme powietrze.

Dopiero po dwóch godzinach ujrzałem schronisko, i te pozostałe trzysta metrów do przebycia w ogniu słońca, na dość stromym podejściu ścieżki. Już od dłuższego czasu nie siyszałem za sobą Piegowatej, ani tego powłóczenia nogami, ani potknięć, ani przerzucania plecaka, ale też ani razu nie przystawałem. Zaciśniętem wysuszone zęby i wargi, i starałem się iść równą szybkością.

Nie, ta koperta nie była nigdy niebieska. Teraz sobie przypominam. W tamtym czasie bardzo nie lubiłem niebieskich kopert, używałem wyłącznie seledynowych, a i na takim papierze pisałem. Ciekawy jestem, czy papier też zszarzał jak koperta; a może zachował swą pierwotną, seledynową barwę? I znowu mnie korci, by rozzerwać tę burzą-szarą kopertę i zajrzeć do wnętrza, i znowu czym prędzej odkładam list poza zasięg ręki. Usiłuję przypomnieć sobie treść tego, co koperta zawiera w środku, ale nie umiem, chociaż bardzo wyciętam umysł, nie umiem.

Usiadłem na kamiennym obmurowaniu schroniska, zrzuciłem plecak i aparat i koszulę mokrą też zrzuciłem; miałem wielką ochotę napić się zimnej wody w schronisku, bo to, co do picia miałem ze sobą, wysuszyłem już dawno w drodze, ale wiem, że tak zawsze mówi moja Babcia, która wie wszystko dobrze, że to niezdrowe, i że zapalenia można dostać.

Piegowata przyszła dopiero po pół godziny. Rzuciła plecak obok mego i usiadła na takim samym murku naprzeciw. Siedzieliśmy tak odwrócenii od siebie twarzami, spragnieni, bo ja tej wody jeszcze nie piłem, gdyż jakoś nie mogłem ochłodzić, a Babcia przecież mówiła, że to niezdrowe.

Piegowata nie odzywała się, a ja też nie miałem ochoty mówić, bo sucho bardzo w ustach i jakiś słony niesmak.

Upłynął chyba kwadrans, gdy Piegowata zapytała:

- Przynieść ci wody?

- Możesz - odpowiedziałem, nawet nie odwracając głowy.

Po krótkiej chwili ujrzałem kubek przed sobą, i jej delikatną dłoń. Wypiłem wodę, kubek na powrót włożyłem do tej dłoni, której nie cofnęła nawet w czasie, kiedy piłem, a potem usłyszałem jak usiadła z powrotem na swoim poprzednim miejscu. Wyjęłem z plecaka gotowane jajka, kromki razowca i pomidory, po cztery wszystkiego, i sprawiedliwie podzieliłem na dwie serwetki.



- Masz. Wyciągnęłam rękę do tyłu z zawiniątkiem. Zaraz też usłyszałem, jak zeskokczyła z obmurowania, odczułem jej obecność za plecami - i to, jak zabierała prowiant a potem z powrotem usiadła na tym obmurowaniu, co też usłyszałem.

Jedliśmy w milczeniu.

- Będzie burza... - powiedziała Piegowata.

Spojrzałem w górę. Teraz dopiero zauważyłem ciężkie, kłębiaste chmury, które nie wiadomo kiedy zebrały się w takiej mnogości. Zaraz też poczułem duszność, tak że nawet siedząc nieruchomo, oddychałem z trudnością i też pociełem się bardzo.

Spojrzałem raz jeszcze w górę. Zeskoczyłem z obmurowania, naciągnętem koszulę, narzuciłem na plecy wiatrówkę, zarcułem też plecak, a przez ramię aparat fotograficzny...

- Wracam na dół, do domu - powiedziała - dość głośno.

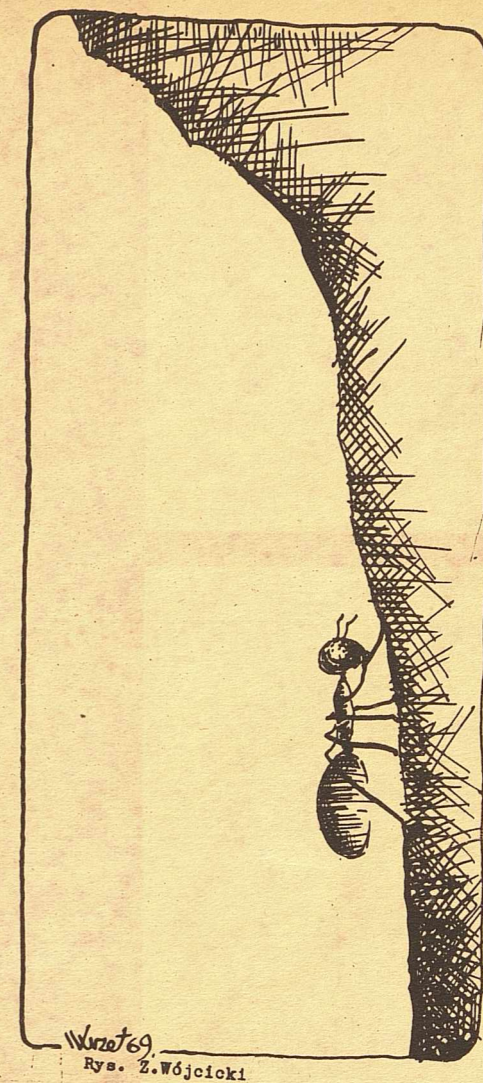
- Dlaczego się wygłupiasz, mieliśmy tu spędzić trzy dni... dlaczego tak mnie dręczysz?

- Wracam na dół - po prostu pomyliłem się, wchodząc dziś tak wysoko - pogoda niepewna.

Zacząłem schodzić.

Ten list na pewno jest napisany zielonym atramentem, taki sam jakiego używam dziś jeszcze. Ciekawy jestem, czy mo-

PIEGOWATA



Wzrostę Rys. Z. Wójcicka

Je pismo od tego czasu bardzo się zmieniło; i znowu chcę rozzerwać tę kopertę, dotrzeć do jej zawartości i wrzescie wiedzieć, co tam wówczas tak bardzo ważnego napisałem, gdyż listy piszę tylko wtedy, gdy mam coś bardzo ważnego do napisania. Dlatego tak rzadko piszę listy, najwyżej dwa do roku, czasami tylko jeden. Uważam, że tej formy nie wolno nadużywać, bo otrzymywanie list musi wynagrodzić niepewność rozrywania koperty i dręczącej myśli, które teji czynności towarzyszą; więc list taki musi zawierać treści niespodziewanej szokujące zarazem - inne listy nie mają w ogóle sensu. Ja tylko takie listy piszę, więc i ten trzymany w palcach (dlaczego znowu trzymany w palcach!), na pewno jest bardzo ważny i treściwy; to też niepomiernie się dźwię, że leży tak długo u mnie w sufladzie, jakby niepotrzebny nikomu, dziwiw się, że nie wystąpił tam, gdzie jego przeznaczenie.

Przeszedłem nie więcej jak sto metrów, gdy usłyszałem za sobą to posuwanie zmęczonymi nogami i częste potknięcia. Coraz ciemniej. Po godzinie, w zupełnych prawie

ciemnościach, zaczął padać deszcz. Duży-mi kropkami, ciepły, nagrany upalnym dniem. Burza zerwała się niebawem. Taka z wicherą, piorunami i potężnym grzotem. Nie mogłem już dosłyszeć Piegowatej, ale wy-

czuwałem, że jest w pobliżu. Nie szukałem schronienia przed deszczem, natomiast starałem się schodzić równym krokiem.

Nigdy nie bałem się burzy, a nawet lubię ten żywioł do dziś jeszcze. Zawsze podczas burzy otwieram na oścież okno i siadam przy nim, aby obserwować rozjaśnienie nieba i wsłuchiwać się w konkretną muzykę natury.

Iść było coraz trudniej, plecak ciężki, a wiatr wytracał z równowagi. Często się potykałem, w końcu ujrzałem światła schroniska w Dęboczu.

Najtrudniejszy do przejścia okazał się odcinek drogi niczym nie osłonięty - gładka polana, między zrębem lasu a schroniskiem. Żywioł wirował opętano, rzucał mną na wszystkie strony, obracał w kółko jak bakiem, ale udało mi się cało dojść pod schronisko.

Stałem na ganku wraz z kilkoma, których burza też zaskoczyła w górach, czy w

pobliżu schroniska. Wpatrywałem się w ścieżkę, którą prawdopodobnie nadejdzie Piegowata.

Długo czekałem; już i wicher, żelaza, deszcz jeszce tylko padał drobnymi kropkami, grzmoty oddalały się gdzieś za góry, nim ją ujrzałem. Staniała się na umęczonych nogach. W oczęstych blaskach błyskawic, które w ciży rozjaśniały niebo, wyglądała jak jakieś niematerialne zjawisko. Polaną przeszła z trudem, bo przecież i trochę jeszce wiało, ale bez upadku udało się jej dojść do schroniska. Była ubłoczona, z pokrawioną dłońmi, tą, którą podawała mi kubek z wodą - i z rozbitym kolaniem. Musiała widać upaść w drodze powrotnej.

Podąłem jej swoją chusteczkę, którą wtarła skałoczną dłoń, a następnie owinęła nią stłuczone kolano.

Zebrani przypadkowo na ganku przyglądali się nam w milczeniu, zdziwieni nieco.

- Idziemy - powiedziałem.

Deszcz jeszce nie ustał zupełnie, ale wiatr ucichł.

Ci zebrani na ganku znowu dziwnie na nas spojrzeli; na mnie z oburzeniem, a na Piegowatą z litością, na jej obłoczoną odcień, zleplone włosy, które teraz były bardzo podobne do moczonego lnu. Gdy ruszyłem naprzód, po chwili usłyszałem za sobą kroki Piegowatej, i doszedł mnie głos któregoś z tych stojących na ganku:

- A to bydlak, zostawił dziewczynę na łasce losu, a jak z bidą doczłapała, nie dał jej nawet odspanać...

- A ona też głupia, bo jeszce za nim

lezie... - to był głos kobiety.

Więcej nie dosłyszałem, bo nie chciałem dosłyszeć, ale napewno długo potem o nas jeszce mówili, co oświadczyć bardzo lubię.

Tramwajem wróciliśmy do miasta. Szliśmy wyludnionymi ulicami w milczeniu, bo przecież już nic nie mieliśmy sobie do powiedzenia; wiadomo, że niepewna pogoda wszystko zepsuła i że wycieczka nie bardzo była udana - a nie lubię analizować rzeczy nieudanych.

Przed bramą jej domu przystanąłem, a gdy doszła (znowu została kilka kroków za mną, widocznie była już bardzo, a bardzo zmęczona), podałem jej rękę i powiedziałem:

- Dobranoc - tylko to jedno słowo. No bo po co więcej; a ona odpowiedziała:

- Dobranoc.

- Zadzwoń jutro do mnie - jeszce do-powiedziałem - to umówimy się na następną wycieczkę.

Nic nie odpowiedziała, bo widocznie nie miała nic do powiedzenia, a wiedziała, że bardzo nie lubię, gdy ktoś mówi, a nic nie ma do powiedzenia. Ja zawsze umiem milczenie uszanować...

Odwrociłem się więc i poszedłem do siebie.

Nie dzwoniła ani nazajutrz, ani po całym tygodniu, i po miesiącu całym. Wtedy to chyba napisałem ten list, który znowu (nie wiem dlaczego), trzymam w palcach.

A potem wyjechałem z tego podbeskidzkiego miasta, i ten list wyjechał razem ze mną, a potem minęło kilka, a może kilkanaście lat (niektóre lata liczyć trzeba podwójnie, tak to ktoś napisał, czy powiedział) i jakoś nie udało mi się tego listu wy-słać.

I znowu mnie kusziła w wyszarzała koperta, chciałyby chociażby zobaczyć datę, tę w rogu po prawej stronie seledynowego papieru; zawsze tam datę umieszczam więc zapewne i na tym listcie będzie w tym określonym miejscu wypisana i coraz bardziej chęć to sprawdzić... ale przecież tego listu już nie wolno mi otwierać, nie do mnie adresowany, a i nadawca też już nie ten sam, co przed laty. Otwarcie listu byłoby dużym nietaktem, może nawet przestępstwem? Nie wiem, nie jestem biegły w prawie. Więc tylko oglądam ten wyblakły, bardzo wyblakły adres, ale teraz już umiem go odczytać, dokładnie, każdą literkę...

Zupełnie bezwiednie wyjąłem pióro i poprawiłem zielonym atramentem ten wyblakły tekst. Uaktualniłem adres nadawcy. Jest noc. I jest lato, w samej koszuli, w polatanych spodniach i w kapciach koślawych na bosych stopach, wyszedłem z mieszkan-na. Na rogu pobliskim jest czarna skrzynka. Minęła burza, ale deszcz jesz-cze pada i ulice są mokre i wyludnione.

Tym razem do domu wróciłem bez listu.

ERNEST DYCZEK



MAGAZYN PROBLEMOWO-INFORMACYJNY POLITECHNIKI WROCLAWSKIEJ. Wydaje Politechnika Wroclawska. Adres redakcji: Wrocław ul. Wybrzeże Wyspiańskiego 27, pok. 339, tel. 270-51 wewn. 240. Redaguje zespół w składzie: MARIAN PIJAŁKOWSKI / red. graficzny, JACEK GAJEWSKI, JERZY GURULSKI, SŁAWOMIR HULANICKI, BARBARA LIP, FRANCISZEK ŁĘTOWSKI, JERZY MAGER, JAN OSIŃSKI / naczelny redaktor, ANDRZEJ PEŁECH, STANISŁAWA SZULC, MARIA WÓJCICKA / sekretarz redakcji. Opracowanie graficzne: Marian Pijałkowski przy współpracy Stefana Bajera, Bolesława Magi, Andrzeja Pawłowskiego, Antoniego Piekarsza i Tadeusza Pluty. Druk: "INTRODRUK" - Wrocław Zam. 40592 nakł. 3000 M-1/10

Cena 2 zł

fraszki

WSPÓLCZYNNIK ZEROWY

Długo zastanawiały się tegie głowy,
Czy iloczyn może mieć współczynnik zerowy.

ZASTANAWIAŁ SIĘ...

Zastanawiał się student jaki wymiar ma pi
W układzie SI.

GENIUSZ

Kopernik ruszył Ziemię, problemu nie miał z Słońcem,
A dzisiaj byłoby mu trudno związać koniec z końcem.

O POSZUKIWANIU KONTAKTÓW

Szukanie kontaktów, rozpoczął od aktów.

O PEWNYM ABSOLWENCIE

Narodził się goły i szybko obrósł w piórka,
I zapomniał, z jakiego pochodził podwórka.

PRAWDA

Prawda w oczy kole, fakt to stary,
Cóż z tego, niektórzy noszą okulary.

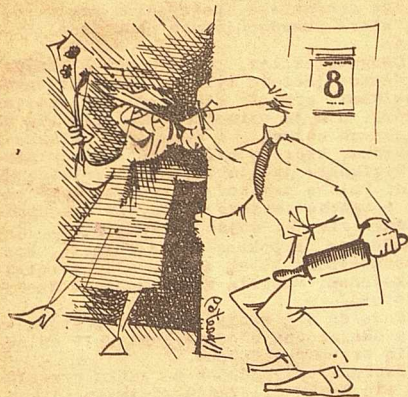
ŚWINIA O ŚWINI

Prędzej wyciągnie kopyta,
Niż odejdzie od koryta.

O PEWNEJ STUDENTCE

Do tego grawituje,
Kto jej funduje.

JAN BACHRIJ



przebłytki

Zamiast skakać, nieustannie wołał "hop,
hop!"

Samobójstwo: obłany egzamin z życia.

Na omentarzu krzyżują się wszystkie drogi.

Poco znajomość języków obcych tym, którzy
i tak nie rozumieją nikogo?

Jeśli się bardzo czegoś pragnie, to tro-
chę tak, jakby się to miało.

Na szczęście nieszczęśliwym jest się bez
niczego.

Chciał mieć ciepło rodzinne; istotnie, ma
teraz piekło w domu.

Jeśli ma się jednego wroga prawdziwego, to
co za różnica, czy ma się ich więcej.

Dla niewiernych nie ma podobno abawienia,
ale jest im to i tak obojętne.

Pan X jest wyjątkowo dobrze ułożoną świnią.

Nie należy aż marzyć o tym, czego wystar-
czy po prostu pragnąć.

Życie nie tylko pełne jest niespodzianek,
ale i pełne spodziewanych, ale nie do-
szłych do skutku rzeczy.

Nawet mierność tego megalomana była wiel-
ka.

Bądźmy sobą, nawet będąc incognito.

Nie ma takiej sprawy, której nie można by-
tyło nie załatwić.

Od tego są przeżycia, aby je przeżywać, a
nie przeumierać.

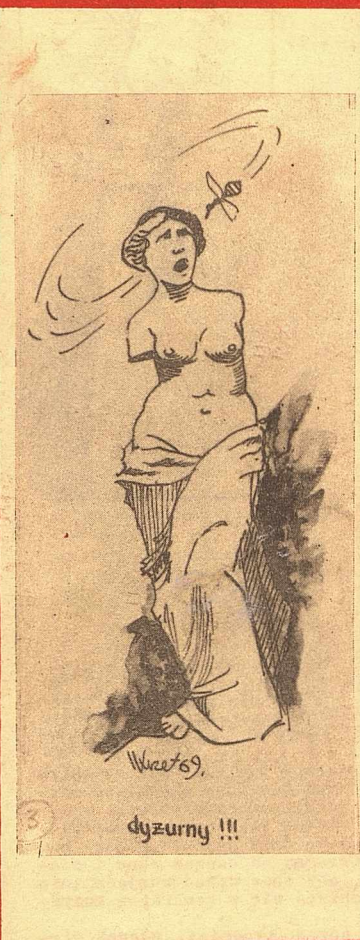
Uwaga - człowiek! ... Spójrz w siebie, nie
w lustro!...

... Tak toczy się półświataki! ...

Pani X była tak skromna, że wstydziła się
wychodzić z męskich łóżek.

Pewien kłudz miał tak krótką pamięć, że
zapomniał paclerza na amer.

HENRYK JAGODZIŃSKI



Kiedy wreszcie kupisz to futerko, to już zmusi